Nr. 18 (1478). Warszawa, 1 Maja 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Martwa ideja.

Ideje bywają bardzo potężnymi czynnikami w polityce i w historji. One to wywołały najgłębsze dziejowe przewroty w społeczeństwach ludzkich, obalały państwa i na ich gruzach budowały nowe, przetwarzały prawa i obyczaje, przeobrażały typ ludzki. Ktoby jednak, stwierdziwszy tę moc twórczą i burzycielską, jaka tkwi w idejach, pokusił się na fabrykowanie ich na zawołanie dla osiągnięcia przy ich pomocy doraźnych rezultatów—rychło przekonałby się o płonności swych usiłowań.

Czasem nad szerokim łożyskiem jakiegoś idejowego prądu praktyczni działacze lub spekulanci polityczni zdołają ustawić sobie jakiś tartak lub młyn, z którego ciągną korzyści, lecz prądu samego stworzyć nie mogą. Musi on brać początek z jakiegoś głębokiego źródła dążeń i pragnień tkwiących w samej naturze stosunków ludzkich, muszą go zasilać spadające z podbniebnych wyżyn potoki natchnień ducha ludzkiego, spływać doń ze wszech stron strumienie życiodajne, jeżeli ideja ma być trwałą, żywotną i twórczą. Łatwiej jest sfabrykować potężny Dreadnought niż ukuć nowy prąd dziejowy i pchnąć na niego polityczną nawę. Każde tego rodzaju przedsięwzięcie kończy się nieuchronną katastrofą, rzadziej tragiczną często komiczną.

Swieżo spoglądaliśmy na tego rodzaju chybione próby.

Rok dobiega jak panowie Kramarz i Dmowski zainaugurowali nową epokę slawizmu. Ideja słowiańska miała odrodzić potęgę Rosji, rozwiązać kwestję polską, przetworzyć mapę Europy i stosunek sił europejskich mocarstw, miała się przeciwstawić potędze niemieckiej — słowem, cudów dokonać.

Jedno jedyne hasło — solidarności słowiańskiej bez zastrzeżeń miało zgoić wszystkie najkrwawsze i najgłębsze rany, rozstrzygnąć odwieczne spory, wyrównać krzywdy, słabych uczynić silnymi, żandarmów zamienić w aniołów-stróżów, a bagnety — w wachlarze.

Nic z tego się nie spełniło. Nowy kurs słowiańskiej polityki Rosji, czule karmiony i pielęgnowany przez bardzo wiele różnego autoramentu nianiek nietylko okazał się wedle przysłowia niemowlęciem garbatym, ale nie dożywszy roku powiększył grono aniołków. Brakło mu wszelkiej żywotności i odporności, a co główne — brakło mu naturalnego pokarmu szczerych, żywiołowych uczuć.

Smiało można powiedzieć, że nikt go nigdy nie brał zupełnie poważnie. Dla jednych był on manewrem politycznym, akompanjamentem do gry dyplomacji osłaniającej barwnym sztandarem słowiańskim zaborcze zachcianki, dla innych był opłatkiem w którym nacjonalistyczne gardła przełknąć miały wstrętną dla siebie zasadę wolności, równości, sprawiedliwości. W Pradze Czeskiej nacjonalizm rosyjski będąc na wizycie — krzywił się, wykręcał, targował—lecz bądź co bądź maleńką porcyjkę przełknął. Na ostatnim zjeździe słowiańskim w Petersburgu już bez ceremonji rozgryzł kapsułkę i wypluł jej zawartość.

Mimo gorących usiłowań „neoslawistów", którzy mogliby też przybrać i całkiem inną nazwę, lepiej określającą ich punkt widzenia, kwestję polską, uznaną jako oś całej polityki słowiańskiej, jako klucz do Carogrodu, a rygiel od strony Berlina — pozbyto mglistą i ogólnikową rezolucją o poszanowaniu słusznych dążeń, o równouprawnieniu, o bezstronnym roztrząsaniu i sprawiedliwym rozstrzygnięciu i t. p. Pod te ogólniki podciągnąć można równie dobrze i stan wojenny, i ochronę wzmocnioną, i samorząd, i coś lepszego od

samorządu. Podczas gdy w kwestji bośniackiej odrazu postulaty określono jasno, żądając autonomji, — co do Królestwa Polskiego—przepraszam — co do „Polski w granicach etnograficznych" (aby nie przesądzać losów Rusi chełmskiej i „uciśnionej" Rusi halickiej) zdania były podzielone, mocno podzielone. Najśmielsze żądały uprawnienia języka polskiego w sądzie i szkole oraz „autonomji ziemskiej" ale to wywołało skandal. Sam wyraz „autonomja" stał się kamieniem obrazy, a zagadkowy przymiotnik „ziemska" nie zdołał rozproszyć obaw.

Na nic się nie zdały wymowne i logiczne wywody pp. Szarapowa, Pogodina i innych, dowodzących, że tępiąc polskość — otwiera się wrota dla inwazji niemieckiej, która ze wszystkich stron naciera i obezwładnia Rosję zarówno w jej wewnętrznej jak zewnętrznej polityce. Nacjonalizm rosyjski nie liczy się z takimi względami, a Niemców się nie lęka. Klucza do Carogrodu nie szuka, rygle od Berlina odsuwa z własnej chęci, gdyż Niemcy są najsilniejszym mocarstwem, jak w przystępie szczerości zauważył Hurko.

Dobrze jest istotnie mieć sprzymierzeńców silnych, ale niebezpiecznie, gdy są za silni. W ostatnich czasach zaś przekonała się Rosja, że siła niemiecka, to miecz o dwuch ostrzach. Oprzeć się na nim nie można i póty jest spokój, póki się go nie dotyka. Nietylko Rosja — lecz Europa cała ujrzała, że bez względu na umowy, traktaty, przymierza, jakie Rosję łączą ze stroną przeciwną — jedno wymowne skinienie z Berlina zmienić może doraźnie cały kierunek jej polityki, wszystkie jej dyplomatyczne czy strategiczne plany, oraz że Niemcy pozwolą się Rosji bawić sztandarem słowiańskim póty, póki się trzyma w granicach dozwolonej rozrywki, ale gdy już rzecz na serjo brać zechce, surowy opiekun ukazuje dwie żelazne pięści w postaci dwuch zmobilizowanych korpusów i zabawkę z ręki wytrąca.

Na to nie mają rady i sposobu ani p. Szarapow, ani p. Pogodin, ani p. Milukow. Choćby pozyskali dla swych poglądów bardzo szerokie koła rosyjskiej opinji publicznej, to i tak w Rosji pozbawiona egzekutywy opinja publiczna przeciw zbrojnym zastępom piechoty niemieckiej nie znaczy nawet tyle, co fortyfikacje Warszawy, Modlina i Dęblina, a i te podobno znaczą tak mało, że nawet mają być zniesione.

To zupełnie wystarczy, by rozwiać do reszty złudzenia utopistów słowiańskich wszystkich krajów, i tych z nad Wełtawy i tych z nad Driny i Dunaju. Rosja jako mocarstwo w żadnym wypadku braciom Słowianom dopomóc nie może, gdyż jest sama bezsilną i bezradną wobec giermańskiej potęgi. O ile by zaś zachłanność niemiecka zamiast na Półwysep Bałkański skierowała się w porzecze Wisły, nie spotkałaby się z silniejszym oporem niż w Bośni i Hercegowinie.

Może wówczas odezwałby się znowu jakiś głos w Europie, który — na złość Niemcom — domagałby się autonomji dla Królestwa Polskiego, jak dziś Rosja domaga się jej dla Bośni, lecz ona sama nie posiadałaby już nawet moralnego prawa stawiania takich żądań, a powoływanie się jej na słowiańskie pokrewieństwo i stąd tytuł do praw opiekuńczych, przyjęłaby Europa głośnym wybuchem śmiechu.

Wszystko to może być bardzo smutne dla szczerych patryjotów rosyjskich, może być dotkliwie upokarzajace, ale to jest gorzka prawda, którą przyswoić sobie muszą, ażeby się zrzec wszelkich szkodliwych i na manowce sprowadzających fantasmagorji.

Taką błędną fantasmagorją była dla nich ideja słowiańska. Dziecinnym złudzeniem było, że ona może wskrzesić potęgę zewnętrzną lub odrodzić życie wewnętrzne Rosji. Dziecinnym złudzeniem, aby mogła stępić ostrze reakcyjnego nacjonalizmu, a rozszerzając jego horyzonty w imię haseł patryjotycznych, wzniecić w nim szerokie humanitarne i wolnościowe dążenia. Złudzeniem wreszcie było i to, aby taki reakcyjny nacjonalizm mógł kiedykolwiek w jakimkolwiek społeczeństwie stanowić czynnik istotnej żywotności narodu, by starczył choćby do narodowej samoobrony. My wiemy z własnego historycznego doświadczenia, że hasłami nacjonalistycznymi zawsze posługują się te kierunki, które na zgubę narodu działają — zaś piętno złych patryjotów spada na tych, którzy najszczerzej sprawy narodowej bronią.

Złudzeniem wreszcie i to najszkodliwszym jest to, by można dobrze i skutecznie służyć idei, którą się tchórzliwie przemilcza, lub dyplomatycznie maskuje. Szczerość i odwaga przekonań są pierwszym warunkiem i silnego natarcia i energicznej obrony na arenie politycznej walki.

Co pp. Pogodina, Milukowa i Szarapowa, cóż nas samych właściwie obchodzi ideja słowiańska jako taka?

Podziw dla patryjotyzmu energji i odporności Czechów, współczucie dla zagrożonych w swym bycie Serbów, uznanie dla mężnych Czarnogórców — są zupełnie niezależne od rasowego pokrewieństwa. Współczuliśmy z Boerami walczącymi o niepodległość, wzrusza nas krzywda Ormian, ofiar krwawych rzezi, najserdeczniejsze życzenia nasze towarzyszą młodotureckiej armji w jej krwawym boju o polityczną wolność. I bynajmniej nie zachwycałby taki rezultat polityki słowiańskiej Rosji, któryby jej dał klucz do Carogrodu, a rozbiorem państwa otomańskiego położył kres tragicznym zapasom odradzającego się narodu z potęgą wszecheuropejskiej reakcji.

Żaden tryumf Słowiańszczyzny, któryby był klęską wolności i sprawiedliwości, żaden pogrom rasy obcej, któryby był zwycięstwem reakcji, nie znajdzie poklasku i uznania u tych, którzy usiłowali ideję słowiańską natchnąć ogólnoludzkim humanitaryzmem. Dla czegóż więc zamiast jasnego i otwartego wyznania, że chodzi tu po prostu o ideję wolności i sprawiedliwości, o walkę z uciskiem pod wszelką jego postacią, w domu czy na obczyźnie, na europejskiej czy petersburskiej arenie, o panowanie wolności w kraju jako jedynej drogi do jego odrodzenia i jedynej gwarancji dla jego niezawisłości, dla pokoju wewnętrznego i trwałych sojuszów na zewnątrz — dla czegóż zamiast tego wszystkiego, kokietować nacjonalizm rosyjski — hasłami patryjotyzmu rasowego?

Kwestja polska jest nietylko kluczem do kwestji słowiańskiej, jest ona osią wewnętrznej i zewnętrznej polityki rosyjskiej. Jeśli Rosja ma się na nowych zasadach odrodzić i zreorganizować, — nie może nie uznać tych zasad w stosunku do Polski. Jeżeli ma

być swobodna i niekrępowana w swych przymierzach na zewnątrz, musi się wyzwolić z pod komendy Niemiec i zrezygnować z ich dozoru policyjnego nad aspiracjami polskimi.

Takiego zwrotu jednak niepodobna się spodziewać po tych żywiołach, które zorganizowały zjazd słowiański, a dziś w Rosji grają pierwszą rolę. W ten sposób rozumiane dobro kraju byłoby dla nich klęską. Nastanie nowej ery witaliby z tym samym uczuciem, co nietoperze wschód słońca, a Abdul Hamid zbliżanie się młodotureckiej armji.

Na to nie pomogą żadne argumenty.

My zaś, mając bardzo jasno i ściśle określone narodowe potrzeby i dążenia, nie powinniśmy ich osłabiać rozpuszczając w słodkiej wodzie słowiańskiego jeziora, a mając szeroko zakreślone horyzonty ogólnoludzkiego braterstwa, nie potrzebujemy ich zwężać do ciasnych granic etnograficznego powinowactwa. Nie będziemy podrabiać naszych haseł i fałszować ideałów — dla osiągnięcia naszych celów. Leżą one na drodze wielkich historycznych prądów, w zakresie idei żywych i twórczych, które może długo na zwycięstwo czekać będą, ale niewątpliwie przeżyją setki takich sezonowych fabrykatów, jak rosyjskie słowianofilstwo z ubiegłego roku. *m.*

Przypuszczalny rozwój stosunków społeczno-politycznych w Rosji w najbliższej przyszłości.

I

Obok ścierania się stronnictw w Dumie, i walki między niektórymi z nich a rządem, wewnątrz narodu rosyjskiego odbywają się doniosłe przeobrażenia: siły społeczne, które w najbliższej przyszłości decydować będą o dalszym rozwoju stosunków socjalno-politycznych, grupują się w nowych formach.

Prawo z dnia 9/22 listopada 1906 roku, przyjęte i rozszerzone przez III Dumę, wywołało niezawodnie całą rewolucję w stosunkach rolnych przez przyśpieszenie zupełnego rozkładu wielkorosyjskiej gminy rolnej, oraz zniesienie własności rodzinnej i zaprowadzenie indywidualnej. Prawo to dozwala gospodarzom, którzy użytkują dotychczas z pewnej części gruntów gminnych, uczynić je swoją własnością formalnym zażądaniem tego. W tych gminach, gdzie w ciągu ostatnich lat 24, nie przeprowadzono podziału gruntów gminnych, część będąca w użytkowaniu poszczególnych gospodarzy staje się ich własnością na mocy prawa, bez formalnego zażądania. Prawo to zaprowadza jedną jeszcze doniosłą zmianę: dotychczas gospodarstwa włościańskie uważane były za przedmiot czasowego użytkowania poszczególnych rodzin chłopskich, głowy zaś tych rodzin były tylko jakby upełnomocnionymi ich administratorami; obecnie gospodarstwa te będą własnością tylko ojca rodziny, który może rozporządzać nimi zupełnie dowolnie.

W utrzymaniu gminnego władania ziemią zainteresowani byli przeważnie włościanie niezamożni, zamożni zaś dążyli już dawniej do uzyskania własności ziemskiej indywidualnej. Wprawdzie gminne władanie ziemią nie gwarantowało faktycznie „równości" włościan, gdyż zamożniejsi, posiadając inwentarz, narzędzia rolnicze w dostatecznej ilości — zawsze mieli przewagę, przeszkadzało jednak bardzo szybkiemu różniczkowaniu się włościaństwa wielkorosyjskiego. Tej przeszkody obecnie nie będzie.

Rząd p. Stołypina śpieszył się z reformą, gdyż w gminnym władaniu ziemią widział jedną z przyczyn dążenia włościan do przymusowego wywłaszczenia wielkich posiadaczy ziemskich. Władze administracyjne otrzymały rozkaz popierania włościan pragnących wydzielenia na własność użytkowanych dotychczas gruntów gminnych; to też, w niektórych zwłaszcza gubernjach, naczelnicy ziemscy działają „bardzo energicznie".

Gminne władanie ziemią w Rosji ulegało już oddawna procesowi rozkładu, który jednak chwilami, w niektórych zwłaszcza prowincjach, zdawał się zatrzymywać; „narodnicy" nawet twierdzili, że istnieją objawy wielkiej żywotności wielkorosyjskiej gminy rolnej. Nie będę rozpatrywał tego sporu, gdyż wymagałoby to wchodzenia w szczegóły, dotyczące stosunków prawno-ekonomicznych wsi rosyjskiej. Zaznaczę tylko, że rozwój życia miejskiego, handlu, przemysłu i środków komunikacyjnych działał naogół w sposób rozkładowy na spólnotę rolną w Rosji, wciągając ją w wir zjawisk ustroju kapitalistycznego i uzależniając od zmiennych warunków rynku.

Prawo z dnia 9/22 listopada 1906 roku, przyjęte obecnie i rozszerzone przez Dumę, które przyśpieszyło przejście od gminnego władania ziemią do indywidualnej własności włościańskiej, uczyniło zarazem ten proces dla ludu bardzo ciężkim przez niektóre specjalne przepisy, korzystne dla zamożnych gospodarzy, a szkodliwe dla włościańskiego ogółu.

W 50 gubernjach Rosji, bez Kaukazu i Syberji, jest 11½ miljona gospodarstw, z nich 15/28 października 420 tysięcy gospodarstw zostało wydzielonych ze spólnot rolnych; z wielu innymi stanie się wkrótce to samo, gdyż kierownicy ich zrobili już odpowiednie podania. Po ostatecznym zatwierdzeniu prawa 9/22 listopada z dodatkami przyjętymi przez Dumę, proces rozkładu gminnego władania ziemią postąpi jeszcze raźniej. Dotychczas bowiem odbywał się tylko na podstawie prowizorycznego prawa z 1906 roku, w którym nie było jeszcze ustępu o ogólnym uznaniu za własność indywidualną części gruntów gminnych użytkowanych dotychczas przez włościan w gminach, gdzie w ciągu ostatnich 24 lat nie przeprowadzano podziałów.

To przyśpieszone zanikanie gminnego władania ziemią spowoduje szybkie różniczkowanie się włościaństwa rosyjskiego na zamożnych włościan, biednych i półproletarjuszy.

Jakie będą przypuszczalne konsekwencje tego procesu? Na pytanie powyższe publicyści różnych obozów odpowiadają w sposób rozmaity.

P. Stołypin i zwolennicy jego sądzą, że proces ten doprowadzi do podniesienia kultury rolnej, utrwalenia porządku w państwie przez wzmocnienie poczucia własności, do tryumfu inicjatywy osobistej jednostek silnych.

Kadeci są innego zdania: nie będąc zasadniczymi zwolennikami gminnego władania ziemią, sądzą, że szybki proces różniczkowania się włościaństwa rosyjskiego, spowodowany raptownym rozkładem spólnoty rolnej, doprowadzi do nędzy ogromną jego część i bynajmniej sprzyjać nie będzie utrwaleniu się porządku w państwie.

W samej lewicy panują najróżnorodniejsze poglądy. Część socjal-demokratów t. zw. bolszewicy, którzy są przeciwni blokom z kadetami i dążą do gwałtownego wybuchu masowego, twierdzą, że szybkie różniczkowanie się włościan na bogatych i biednych oraz rozkład gminnego władania ziemią wywoła spadek dążeń rewolucyjnych wśród ogółu włościan, o ile przedtym nie dojdzie do poważnego ruchu. Dru-

ga część socjal-demokratów rosyjskich, t. zw. mieńszewicy, którzy uznają potrzebę chwilowego współdziałania z kadetami i nie wierzą w możliwość rychłego masowego wybuchu rewolucyjnego, przypuszcza, że nowe ukształtowanie się stosunków włościańskich w Rosji usunie wprawdzie dążności ogółu chłopów do masowego wywłaszczenia wielkiej własności ziemskiej, równego podziału ziemi i t. p., lecz bynajmniej nie wpłynie na zanik prądów rewolucyjnych na wsi, nada im tylko inny charakter; walka klas wśród ludu wiejskiego przybierze formy bardziej określone a w pewnej jego części jeszcze się zaostrzy, ruch czysto proletarjacki znajdzie dla siebie grunt przyjazny. Ruch ten nie doprowadzi do „katastrofy", o jakiej myśleli bolszewicy, tylko będzie stałym czynnikiem w życiu państwowym.

Socjaliści - rewolucjoniści, występując bardzo gwałtownie przeciwko nowemu prawu, wyraźnie nie wypowiadają się w sprawie wpływu jego na sam ruch spółczesno-polityczny na wsi; wykazują tylko, że różniczkowanie się włościaństwa prowadzi do jego proletaryzacji. Naogół sądzić można, że nie tracą wiary w możliwość poważnego ruchu masowego wśród włościan w formie wielkich buntów...

Z powyższych hipotez najbliżsi prawdy zdają się być „mieńszewicy". Niezawodnie część włościan ulegnie proletaryzacji; prawdą też jest, że reforma p. Stołypina nie rozwiąże bynajmniej kwestji, nie zrobi tego ani akcja kolonizacyjna w Rosji Azjatyckiej, ani działalność Banku włościańskiego, ani rozparcelowanie dóbr państwowych.

Terenów wolnych do kolonizacji i zdatnych do uprawy bez wielkich nakładów, w Rosji Azjatyckiej jest bardzo nie wiele. Chcąc przestrzeń tę powiększyć, należałoby przedsięwziąć kosztowną pracę irygacyjną, zwłaszcza w prowincjach środkowo-azjatyckich, i karczować wielkie tereny leśne. Akcja państwowa w tym kierunku wymagałaby wiele pieniędzy i czasu. W ostatnich latach ruch kolonizacyjny w Syberji, forsowany z początku przez administrację, został przez nią samą znacznie ograniczony, chwilowo nawet wstrzymany.

Dobra państwowe w Rosji Europejskiej stanowią przeważnie lasy, których część jest już wydzierżawiona włościanom.

Bank Włościański może okazać pomoc tylko niewielkiej części włościan. Wszystko to nie zaprowadzi dobrytu wśród ludu, tylko zmniejszy ostrość kwestji agrarnej i odejmie jednolity charakter. Wytworzy się: część włościan zamożnych, którzy nie będą łaknąć nagłej reformy stosunków socjalnych, oraz proletarjat rolny z właściwymi sobie dążeniami. Pierwsi będą pod względem społecznym żywiołem konserwatywnym, w sprawach zaś politycznych zajmować będą prowdopodobnie stanowisko demokratyczne, albo przynajmniej liberalne. Zechcą zapewne uniezależnić się od administracji, zwłaszcza lokalnej i wywierać wpływ w powiecie, gubernji, a po części i w państwie. To też trudno przypuścić, żeby się stali podporą reakcji. Biedni włościanie, stanowiący pół-proletarjat i proletarjat rolny, będą oczywiście niezadowoleni. Gdyby w Rosji w najbliższym czasie otwierały się piękne perspektywy szybkiego rozwoju wielkiego przemysłu — znaczna część tych grup ludu wiejskiego znalazłaby przynajmniej zarobki w fabrykach. Niestety niema tych pomyślnych widoków. Zubożenie włościan zwęża rynek wewnętrzny, zły stan finansów państwowych uniemożliwia budowę nowych linji kolejowych na wielką skalę, co odbija się przedewszystkim na przemyśle metalurgicznym i związanych z nim gałęziach produkcji. Wskutek tego znaczna część ludności wiejskiej znajdzie się w bardzo ciężkich warunkach, co pociągnie za sobą konieczność reform.

O charakterze tych reform pomówię w jednym z następnych artykułów.

Wskutek ogromnej różnorodności warunków w różnych częściach państwa, nie może być mowy o jednolitym i jednoczesnym ruchu chłopskim. Dokładniejsze badania ruchu agrarnego w ostatnich latach wykazały, że masowy i ostry charakter miał on jedynie w 12 gubernjach. Możliwą jest jednak rzeczą, że wprowadzenie w życie nowouchwalonego prawa agrarnego przez III Dumę wywoła tu i owdzie niezadowolenie mas chłopskich i stworzy mniejsze albo większe trudności władzom administracyjnym.

Stosunki agrarne w Rosji wymagają do właściwego unormowania: utrwalenia się w państwie porządku prawno-konstytucyjnego, reformy ziemstw w duchu demokratycznym i całego szeregu prac kulturalnych.

Ludwik Kulczycki.

Historja mści się.

Europa nazywała dawniej Turcję „chorym człowiekiem", chcąc podkreślić w ten sposób chroniczne rozprzężenie i upadek potęgi państwa Ottomańskiego.

Przyczyny tego stanu, według mego zdania, były następujące: 1) *teokratyczny ustrój—do konstytucyjnej Turcji,* 2) *militaryzm turecki.*

Turcja do rowolucji przedstawiała typ państwa teokratycznego, wszystkie sfery życia były podporządkowywane interesom Kościoła mahometańskiego, a święta księga koranu była najwyższym autorytetem nietylko w kwestjach religijnych, lecz także w politycznych. Wiadomym jest, że społeczeństwa, których regulatorem życia społecznego są prawa mające sankcję nadprzyrodzoną, nie rozwijają się, kultura ich kamienieje, zastyga w swoim rozwoju skutkiem zakazu krytyki tego, co pochodzi od siły wyższej. Religijna ideja w Turcji była murem chińskim, chroniącym Turcję od wpływów europejskich i zabijającym wszelki ruch społeczny.

Islam się przeżył, a z nim przeżyły się i formy prawa państwowego, którymi rządziła się Turcja, oraz światopogląd Turków, sięgający czasów Mahometa.

Duchowieństwo mahometańskie korzystało z pełni władzy i nadużywało jej na korzyść egoistyczno-klasowych interesów.

Przedstawia ono groźną potęgę nietylko polityczną, lecz i ekonomiczną, dzięki latifundjom ześrodkowanym w jego ręku. Sułtan jest równocześnie kalifem, to jest namiestnikiem proroka i jako taki we wszystkich swych rozporządzeniach musi pozostawać w zgodzie z dogmatami i duchem Koranu. Wszystkie akta państwowe muszą być przeniknięte ideją toekratyczną. Wiedza koranu zastępuje wiedzę rozumową. Kler mahometański zwalczał i zwalcza wpływy europejskie chcąc utrzymać władzę polityczną, doskonale rozumie bowiem, że ją utraci, gdy w państwie zapanują nowoczesne stosunki.

Aby unaocznić szkodliwość teokratycznej idei, zwróćmy uwagę na dotychczasowy stosunek Turków do podwładnych im chrześcijan. Polityczne upośledzenie ludów chrześcijańskich, pogarda i szowinistyczna nietolerancja względem wyznawców Chrystusa, oto tło kilkuwiekowej historji Turcji. Systematyczne znieważanie „rajów", jak nazywają chrześcijan Turcy, odsunięcie ich zupełnie od życia politycznego, zepchnięcie ich do czynnika klasy li tylko pracującej dla „prawowiernych" Turków — mści się obecnie na Turkach. I pomimo ciągłych razów, jakie otrzymywała w ubiegłym stuleciu Turcja, pomimo całego morza krwi i łez, wylanych w walce z despotyzmem rządu, pomimo stałych interwencji mocarstw europejskich, które wciąż osłabiały polityczne znaczenie państwa i działały ze szkodą jego, mając na względzie własne interesy, du-

chowieństwo tureckie z uporem fanatyka sprzeciwiało się wszelkim reformom, jakoby niezgodnym z duchem koranu.

Powtarzamy: do wczoraj wszystko ulegało teokratycznemu ustrojowi, uznając pierwszeństwo władzy duchownej nad świecką. Naród ottomański, podług Seignobos'a, autora Politycznej historji Europy, nie był nigdy narodem w etnograficznym znaczeniu tego wyrazu, nawet nie był grupą związaną wspólnością języka lub obyczajów jak inne narodowości europejskie, lecz był tylko grupą złączoną wspólną religją. Narody, które przyjmowały islam, zostały równouprawnione nawet wtedy, gdy zachowywały swe odrębne cechy narodowe Rząd turecki nie czynił żadnych różnic wśród swych mahometańskich poddanych. Muzułmańska monarchja była pod tym względem nawskroś demokratyczną. Lecz wobec tego, że poddani wyznania niemahometańskiego znajdowali się w zupełnej zależności, ludność prowincji europejskich składała się z dwuch kast: wyższej — mahometan, i niższej — „rajów".

Do „rajów" zaliczono poprzednich mieszkańców tych prowincji; o ile pozostali chrześcijanami, zostali cudzoziemcami w państwie ottomańskim i przez długi czas nie mieli wstępu ani do armji, ani do służby cywilnej. Państwo ich tolerowało, lecz usuwało od życia politycznego i pogłownie opodatkowywało. W stosunku do mahometan państwo było demokratycznym, w stosunku do „rajów" arystokratycznym. Naród ottomański, demokratyczny w swym ustroju społecznym, przeobrażał się pod wpływem religji w arystokratyczny. Polityczna nierównowaga wytwarzała nierównowagę socjalną: wszędzie mahometanie byli posiadaczami ziemi i panami, chrześcijanie zaś dzierżawcami i poddanymi. Tak np. w Macedonji do dziś $^1/_6$ uprawnej ziemi należy do duchowieństwa mahometańskiego i zgodnie z prawem tureckim nie może być wyprzedaną. Dochody z dóbr kościelnych idą na utrzymanie meczetów, szkół pozostających pod wpływem duchowieństwa i na inne potrzeby wojującego kościoła. Pozostałe $^5/_6$ uprawnej ziemi pozostaje w ręku obszarników Turków, tak zwanych „czyflikczy".

Chrześcijanie zaś są bezrolnymi robotnikami na cudzej ziemi. Nierówność ekonomiczna wytworzona przez religję pogłębia antagonizm plemienny, zaostrza stosunki i zgnębiony „raja" myśli tylko o zemście, o wyzwoleniu z ciężkiego jarzma. Turcja ciągle musi uśmierzać zbuntowaną ludność, co daje powód do mieszania się obcym mocarstwom w sprawy wewnętrzne państwa Ottomańskiego.

Młodoturkom przypadło zadanie ukrócenia władzy tureckiego duchowieństwa — uśmierzenia fanatyzmu i nietolerancji religijnej i przywiązania pogardzanego do dziś dnia „raji" do ojczyzny - macochy. Rola jak widzimy bardzo trudna, jeżeli zważymy na tylowiekową historję, która szła wręcz odmiennym trybem i która żłobiła przez tyle stuleci nienawiść plemienną i religijną. Nic też dziwnego, że gdy pierwszy entuzjazm dni wolnościowych rozwiał się, gdy młodoturcy z energją wzięli się do pracy twórczej nad odrodzeniem mocarstwa Osmanów, szarjat opierając się na ciemnych masach, pragnie obalić znienawidzony komitet młodoturecki a z nim i konstytucję. W obecnej kontrrewolucji zwolennicy starych porządków stają do walki z prądami odrodzeniowymi, pragnąc unicestwić zdobycze wolnościowego ruchu.

Drugą przyczyną upadku Turcji jest to, że Turcy dotychczas opierali swe posiadanie na sile fizycznej a nie na zespoleniu interesów ludów podbitych z interesem państwa. Nawpół dzicy barbarzyńcy wtargnąwszy do Europy, podbili i usadowili się na ziemiach ludów znacznie kulturalniejszych od siebie i siłą oręża utrzymywali te ludy w posłuszeństwie. Szerzenie zasad Mahometa siłą oręża, nagrody w życiu pozagrobowym dla wszystkich tych, którzy umrą za „świętą sprawę", walki z niewiernymi podnosiło znacznie socjalne stanowisko wojownika i przyoblekało go w „rolę bohatera". Oto dlaczego przez długie wieki Turcja w swym ustroju więcej przypomina obóz podczas wojny niż państwo. Tak Amfiteatrow w dziele swym: „Strana razdorów" podkreśla to nienormalne zjawisko nazywając Turcję „obozem, rządzonym własnymi prawami, własnymi obyczajami, własną religją, nie mającym nic wspólnego z krajem, w którym rozłożył swe leże, stawiając mu jedno tylko żądanie — dostarczania w określonej ilości pieniężnych podatków i żywności w naturze". Cała historja panowania półksiężyca świadczy o tym, że Turcy patrzą na podbite prowincje wyłącznie jako na ziemie, mające zasilać skarb.

W polityce wewnętrznej rząd sułtański nie uwzględniał zupełnie potrzeb ludów, pozostawiając je samym sobie i dusząc ich tylko niezmiernymi podatkami, niszczącymi wytwórczość i przechodzącymi możność płacenia. Nic dziwnego, że przy takim systemie rządzenia głód stale panował w podbitych prowincjach i stale wzrastałanienawiść ku ciemiężycielom. We wszelkim proteście przeciw nadmiernemu obciążaniu podatkami, we wszelkiej odmowie lub nawet zwłoce rząd turecki upatrywał bunt ludności przeciw władzy, a dla uśmierzenia go posyłał wojenne egzekucje, tłumiące protest w potokach krwi.

Nie można jednak budować państwa na nienawiści, na sile pięści lub bagnetu i historja turecka nie wytworzyła zupełnie stosunku prawnego pomiędzy państwem a obywatelem. Obawa tylko siły zbrojnej utrzymuje w posłuszeństwie podbitych krajowców. Krajowiec zwykle nienawidzi Turka, widząc w nim swego wroga; nawzajem zaś Turek widzi w każdym chrześcijaninie „raję" knującego zemstę, a nie walczącego otwarcie—jedynie tylko z przeświadczenia o swej słabości.

Powiem paradoks: nieporządki wewnętrzne i bunty ludów były na rękę rządowi sułtańskiemu. One podtrzymywały wojenną organizację państwa i dawały powód tureckiej administracji do nadużyć, przy których tak łatwo zdobywało się fortuny. Do antyprawnego położenia Porta przywykła i położenie to było jakoby systemem panowania.

Z biegiem czasu militaryzm turecki nietylko się nie osłabiał lecz wciąż wzrastał, wskutek stosunku liczebnego ludności mahometańskiej do chrześcijańskiej: mała garstka zdobywców tylko siłą oręża mogła panować nad wielomiljonową ludnością chrześcijańską. Klasy niższe tureckiego narodu cierpiały niemniej od chrześcijan od systemu rządów sułtańskich i dawno zapewnie bylibyśmy świadkami krwawych rozpraw, gdyby nie umiejętne podsycanie religijnego fanatyzmu i walk „baszy-buzuków" z bezbronną ludnością chrześcijańską. Za naszej pamięci odbywały się krwawe sceny rzezi w Macedonji i Armenji, którym z obojętnością przypatrywał się rząd turecki i których powstrzymać nie mogły protesty państw cywilizowanych. Turecki rząd umiał korzystać z plemiennych antagonizmów dla swych celów politycznych. Państwa europejskie żądały reform, Turcja obiecywała je, z góry przeświadczona, że obietnic swych nie dotrzyma. Raz tylko była szczerą, a mianowicie na konferencji konstantynopolitańskiej w r. 1876, gdy Midhad Pasza powiedział do europejskich pełnomocników: „Możecie unicestwić Turcję lecz nigdy się nie doczekacie, by ona sama na siebie podniosła rękę". Reformy, których nie mogli wymóc na niej dyplomaci, ani demonstracje flot europejskich, powołał do życia ruch młodoturecki. Młodoturcy oparli się na wojsku. Czy jednak wojsko nie wykorzysta tego uprzywilejowanego stanowiska? Czy pozostanie wierne hasłom młodotureckim? Czy nie sprzeniewierzy się sztandarowi wolności i nie wznieci nowych rozterek w kraju? Zobaczymy.

P. Zubowicz.

Medjolański renesans w filantropji.

Nietylko dla artysty lub historyka sztuki Włochy posiadają skarby często nieoczekiwane, lecz i badacz stosunków społeczno - ekonomicznych znajdzie w tym kraju, mało znanym pod względem społecznym, mnóstwo niespodzianek. Cała historja Włoch, gieograficzne położenie ich złożyły się na to, by stworzyć z tego kraju jakiś dziwny konglomerat stosunków ekonomicznych.

Lombardja i Piemont, to kraje z wysoko rozwiniętym przemysłem, gdy Kalabrja lub Bazylikata — to krainy nawpół dzikie. Dlatego Włochy przedstawiają nadzwyczaj ciekawy widok rozwoju kapitalizmu.

Jeżeli, zaczynając od Kalabrji, kierować się będziemy na północ i badać stopniowo każdą dzielnicę, przejdziemy szczebel po szczeblu całą drabinę dziejów rozwoju kapitalizmu. Ostatnim szczeblem tej drabiny będzie Medjolan. Medjolan to Paryż włoski.

Życie tam wre w przyśpieszonym tempie, miasto posiada największe fabryki w całym kraju, formy życia zdradzają już cechy wielkiego współczesnego miasta. Medjolan, stolica życia przemysłowego i umysłowego we Włoszech, jest zarazem ośrodkiem ruchu robotniczego.

Wraz z całymi Północnymi Włochami wlewa on ożywczą krew do arterji całego kraju. Jak każde włoskie miasto w większym lub mniejszym stopniu tak i Medjolan posiada bardzo ciekawe instytucje społeczne.

Długa walka o zjednoczenie Włoch wpłynęła bardzo dodatnio na rozbudzenie i wzmożenie inicjatywy spełecznej; jej Włochy mają do zawdzięczenia wiele instytucji, wyrosłych i rozwijających się samodzielnie bez żadnej pomocy ze strony miasta. Jedną z takich instytucji jest Medjolańskie stowarzyszenie — humanitarja; powołał je do życia Loria, kupiec z Mantui.

Lorja dorobił się majątku w Egipcie, poczym wrócił do Medjolanu, by już żyć bez troski; nie dał mu jednak spokoju widok nędzy, tej nędzy wielkomiejskiej, która się gnieździ w Whitechapel'u w Londynie, na Faubourg St. Antoine w Paryżu, nędzy, którą zna i Warszawa, i Łódź...

By jej choć w części zaradzić, Loria przeznaczył cały swój majątek, 10 miljonów lirów na założenie Stowarzyszenia humanitarnego (Societa Umanitaria).

Wedle statutu tego stawarzyszenia zadaniem Umanitarji jest: „...postawić wydziedziczonych bez różnicy płci w takich warunkach, by mogli dźwignąć się z nędzy o własnych siłach". W tym celu „należy przedewszystkim otworzyć w Medjolanie dom pracy, dla ludzi jej pozbawionych" „...utworzyć biuro pośrednictwa pracy, biuro informacyjne, które winno okazywać pomoc biednym w ich zabiegach o zapomogi w filantropijnych stowarzyszeniach. Biuro informacyjne dążyć powinno do zreformowania filantropji społecznej na drodze zamiany pomocy jałmużniczej na pracę"... „Zakładać szkoły zawodowe, wspierać już istniejące, okazywać pomoc pieniężną rzemieślnikom, rolnikom, kooperatywom spożywczym i wytwórczym i wszelkim instytucjom, dążącym do zapobieżenia brakowi pracy"...

„Starać się za pomocą kooperatyw i innych podobnych instytucji o poprawę moralnych i materjalnych warunków robotników rolnych". Loria w testamencie polecił zajęcie się utworzeniem Umanitarji Medjolańskiej Radzie Gminnej, przyczym zostawił broszury, w których dawał wskazówki, jakimi kierować się miała Rada przy układaniu statutu Stowarzyszenia.

Zapisodawca umarł w październiku 1892 r. Rada Gminna, powziąwszy wiadomość o treści testamentu, natychmiast utworzyła komitet, który w krótkim czasie zjednał dla przyszłego stowarzyszenia około 10 tysięcy członków. W styczniu 1893 r. odbyło się walne zebranie, na którym zatwierdzono statut i wybrano główny zarząd.

Stowarzyszenie jednak nie mogło rozpocząć odrazu swej działalności, gdyż krewni Lorji i różne instytucje filantropijne wystąpiły z procesami przeciwko Umanitarji.

Wreszcie po czterech latach Umanitaria została zatwierdzoną prawnie, lecz ogłoszenie stanu wojennego po dniach rewolucyjnych 1898 roku, kiedy ulice Medjolanu były pokryte barykadami, — wstrzymało jeszcze na kilka lat działalność Umanitarji.

W 1902 r. Umanitaria ożyła, kapitał pozostawiony wzrósł do 13 miljonów, tak, że stowarzyszenie rozporządza dochodem 600 tysięcy franków rocznie. Dochód został podzielony w następujący sposób: 45,000 lirów rocznie — opłata podatków od spadku; 90,000 administracja, lokale etc: 175,000 (t. j. 37,64%) na pozbawionych pracy; 200,000 (43%) na szkoły zawodowe; 50,000 (10,76%) na pomoc robotnikom rolnym; 20,000 (4, 30%) na kooperatywy; 20,000 (4,30%) na Biura informacyjne.

By zdać sobie sprawę z rzeczywistego stanu rzeczy, Umanitaria nie zadowoliła się statystyką państwową, ale sama zajęła się zbieraniem danych o położeniu klasy robotniczej i robotników rolnych. Na zasadzie danych, zebranych przez Umanitarję, wniesiono do parlamentu projekty odpowiednich praw. Niektóre z tych praw już zostały uchwalone, np. zakaz pracy nocnej piekarzy, obrona zdrowia robotników pracujących na polach ryżowych i t. d.

Pomoc bezpośrednia, niesiona przez Umanitarję ludności robotniczej, wyraża się w założeniu Biura Pośrednictwa pracy, kasy dla pozbawionych pracy, domu pracy, warsztatów dla rzemieślników. Ciekawy jest szczególnie typ warsztatów społecznych (Laboratoria Sociale). Urządzone są one nawet wytwornie: wysokie, dobrze opalane w zimie pokoje, zaopatrzone w wentylatory. Obok warsztatów jest czytelnia i prysznic. Do warsztatów tych rzemieślnicy przynoszą własne roboty.

Cel warsztatów polega na tym, by rzemieślnik nie pracował w ciasnym, brudnym i ciemnym pokoju, który służy jednocześnie za sypialnię, kuchnię i warsztat. Z warsztatów korzystać ma prawo każdy, pierwszeństwo mają jednak ci robotnicy, którzy mieszkają w Medjolanie więcej niż sześć miesięcy. Za korzystanie z warsztatów rzemieślnik płaci 30 centimów (12 k.) tygodniowo. Starzy od wszelkiej opłaty są wolni. Tymczasem podobne warsztaty są otwarte dla szewców i krawców. Umanitaria otworzyła cały szereg szkół rzemieślniczych, a mianowicie: elektrotechniczną, szkołę sztuki stosowanej, szkołę dla zecerów, szewców, krawców, zegarmistrzów, wieczorną szkołę rysunków.

Oprócz tego zostały otwarte szkoły rzemieślnicze dla kobiet jako to: szwalnia, szkoła kroju i t. p., szkoły kucharek, pokojówek, praczek, prasowaczek. Przy wszystkich tych szkołach odbywają się wykłady z zakresu przyrody, historji, higjeny.

Dalej, została założona szkoła praktyczna prawodawstwa społecznego *(Scuola practica di legislazione sociale)*, której zadaniem jest zaznajamianie robotników z położeniem klasy robotniczej w innych krajach, prawodawstwem fabrycznym we Włoszech i gdzieindziej i t. d. Wykłady są tu prowadzone przez specjalistów a niektóre z nich okazały się tak ciekawe i pouczające, że Umanitaria uznała za korzystne wydanie ich w formie książek. W ten sposób wydano bardzo ciekawe wykłady prof. Pagliari o ruchu zawodowym w Europie ze szczególnym uwzględnieniem Włoch.

Staraniem Umanitarji został zorganizowany „Związek czytelń ludowych". „Związek" ten wydaje rocznie do 20,000 lirów na czytelnie.

T. zw. Centralna czytelnia i czytelnia przy Giełdzie Pracy (Camere del Lavoro) są otwarte codziennie we dnie i wieczorami, filje zaś, otworzone w rozmaitych dzielnicach miasta, czynne są codziennie wieczorem od 8 — 10½. Czytać można na miejscu lub brać do domu. Czytelnie ludowe w 1906 r. posiadały 24,416 tomów.

Umanitaria zamierza wkrótce otworzyć filje czytelni we wszystkich dzielnicach miasta.

Dla pozbawionych pracy Umanitaria założyła Dom pracy i Kolonje Rolnicze. Rzemiosła, uprawiane w Domach pracy, są możliwie najmniej skomplikowane i najwięcej rozpowszechnione: stolarstwo, ślusarstwo, tapicerstwo, farbiarstwo i t. p. Dla kobiet zaś: reparacja bielizny i ubrania, krawieczczyzna etc.

W Kolonjach Rolniczych otrzymują robotę przeważnie ci robotnicy wiejscy, którzy przyjechawszy do Medjolanu w poszukiwaniu pracy, nie znaleźli jej i chcą wrócić do robót polnych.

Wiele uwagi zwraca Umanitaria na kwestję mieszkań robotniczych.

Włochy przeżywają obecnie kryzys mieszkaniowy, kryzys ten daje się we znaki szczególnie w miastach jak Medjolan, które przyciągają mnóstwo ludzi poszukujących pracy.

Wedle danych spisu ludności z 10 lutego 1901 r. w Medjolanie było 491,460 (w 1906 r. — 540,824), w tej liczbie ludności robotniczej—280,519 t. j. 57,08% ogólnej ludności medjolańskiej. Kwestjonarjusz Umanitarji w sprawie mieszkań robotniczych dał okropne rezultaty. Mieszkania nietylko okazały się drogie, ale ciasne, bez powietrza, bardzo często bez okien, pozbawione elementarnych wygód; wielka ilość domów, zamieszkałych przez ludność biedną, nie posiada wcale ustępów. Bardzo rozpowszechnione jest wynajmowanie łóżek; wielu przedsiębiorców wynajmuje jedno łóżko dwum robotnikom: jeden śpi w nocy, drugi we dnie. Nie rzadki jest system nawet trzech zmian.

Kwestjonarjusz w sprawie śmiertelności dzieci wykazał jak paląca jest kwestja zdrowych i tanich mieszkań. Wobec tego Umanitaria wyznaczyła ze swych funduszów 2,000,000 lirów na budowę domów robotniczych. Domy te zajmują całą dzielnicę. Mieszkania składają się z jednego, dwuch i trzech pokojów. Płaca za pokój wynosi 100 lirów rocznie (37 r.). Każde mieszkanie, nawet złożone z jednego pokoju, posiada gaz, wodociąg, zlew i ustęp. Wiele mieszkań z balkonami. W każdym domu jest wspólna pralnia, prysznic, wanna, specjalna sala do karmienia dzieci, do zabaw dziecinnych, sklep spółdzielczy spożywczy, szkoła rysunkowa, bibljoteka, telefon i sala zabaw.

Umanitaria postarała się też o odpowiednie umeblowanie mieszkania robotniczego, przyczym nietylko zwrócono uwagę na wygodę lecz i na estetykę, co jest rzeczą bardzo charakterystyczną dla Włoch. Niemniej energicznie zajęła się Umanitaria pomocą dla emigrantów, których ilość w 1905 r. wynosiła 726,331 osób, w 1906 r. — 787,977 w 1907 r. więcej niż 800,000.

Pod wpływem Umanitarji został utworzony „Związek opieki nad czasowymi emigrantami w Europie" (Consorzio per tutela dell'emigrazione temporanea in Europa). Działalność Związku polega na wysyłaniu emisarjuszów do główniejszych centrów emigracji, w celu wyjaśnienia emigrantom ich własnych interesów i obowiązków względem towarzyszy pracy poza granicami Włoch; na wydawnictwie włoskich przewodników po Szwajcarji, Francji i t. d.; na utrzymywaniu biur na granicach w Chiasso, Bazylei, których zadaniem jest ułatwianie emigrantom zniżek kolejowych, dawanie informacji o miejscowościach, w których najłatwiej można znaleźć pracę, powstrzymywanie od udawania się do miejscowości, gdzie już wynikły lub są spodziewane strejki i t. p.

Umanitaria, rozszerzając wciąż pole swej działalności postanowiła wziąć udział w organizowaniu kooperatyw wytwórczych i spożywczych. W tym celu pod jej wpływem i przy jej współudziale czynnym powstało stowarzyszenie kredytowe dla kooperatyw (Instituto di credito per le Cooperative 1904).

Wreszcie Umanitaria założyła Biuro Rolnicze, które otwiera szkoły techniczne dla chłopów, udziela kredytu na kupno maszyn i t. d.

By wyświetlić rozmaite kwestje z życia klasy robotniczej, urządza Umanitaria różne zjazdy. Pierwszym był „Międzynarodowy Zjazd dla walki z bezrobociem" (Congresso per la lotta contro la disoccupazione), zwołany w czasie międzynarodowej wystawy w Medjolanie w roku 1906. Choć Kongres nie dał pozytywnych wyników. lecz zgrupował ludzi, zajmujących się kwestją tej plagi nowoczesnej — bezrobocia. Referaty nadesłane i odczytane na Zjeździe, zostały wydane staraniem i nakładem Umanitarji po francusku i po włosku [1]).

Trudno zawrzeć w jednym artykule całą treść wszechstronnej działalności tak ruchliwego stowarzyszenia. Cytowaliśmy naturalnie tylko najciekawsze i najważniejsze fakty z życia Umanitarii. Wystarczy jednak nawet ten pobieżny przegląd, by zgodzić się, że Loria swym darem oddał wielką usługę medjolańskiej klasie robotniczej.

Władysław Kobyliński.

Z DNA NĘDZY.

VIII. Sylwetki.

Wśród dziewcząt, pożyczających od nas książki, jedna interesowała mnie specjalnie: ta, która ofiarowywała mi 200 rb. za umycie starej. Czoło miała jakieś jasne, szczere, obejście szlachetniejsze, spokojne, pełne godności, głos pewien siebie, w całym zachowaniu się—coś, czym panowała nad towarzyszkami. Przychodząc do nas do celi, zaznaczała swoje zamiłowanie do porządku, a nawet estetyki. O tym poczuciu estetycznym mówił sposób, w jaki się ubierała: ciemno a ładnie. Zawsze była czysto i względnie elegancko ubrana. Wybierając książki do czytania zaznaczała, że lubi specjalnie czytać powieści o rycerzach, bohaterach. Dawałyśmy jej zwykle książki historyczne. W godzinach obiadowych wychodziła na korytarz do mężczyzn, a nie biorąc udziału w flirtach, wypytywała o niejakiego K. Słysząc to pytanie, ton, jakim mówiła, zrozumiałam jak głęboko ją ten K. obchodził. Wkrótce przypadkiem dowiedziałam się, że dziewczyna jest kochanką owego K., groźnego złodzieja i nożowca, znanego z zuchwalstwa.

Arcybaszew twierdzi, że wśród prostytutek, których zmysły są drażnione, gdy serce milczy, często zdarza się właśnie skłonność do idealizującej miłości. Nie umiem ocenić słuszności takiego ogólnego twierdzenia, ale u tej dziewczyny właśnie spostrzegłam silne uczucie połączone z rodzajem czci, uwielbienia dla ukochanego. Takiego tylko „rycerza", „bohatera" udało jej się spotkać w życiu, dolę jego dzieliła w swoim odczuciu, z podniesionym czołem. Była dumną z jego „bohaterstwa".

. . . .

F. polubiłam na niewidziane — zawarłyśmy bowiem znajomość przez zamknięte drzwi karcu. Rzecz się tak miała. Gdy kilka dni nie wyprowadzano aresztantek na spacer— przechadzały się po korytarzu więziennym (Avenue de la Douma). Dozorczyni twierdziła, że takie spacery po korytarzu są zabronione.

---

[1]) Le Chômage public sous les auspices de la Societa Umanitaria in 4° str. 270.

Dziewczęta żądały, aby kilka z nich zaprowadzono do kancelarji „do naczelnika". Wobec odmowy ze strony oddziałowej, wszczęła się kłótnia, wśród której jedna z dziewcząt rzuciła dozorczyni obelgę: „Stara k . . . a". Zelżona skazała ją za to drakońskim samowładnym sądem na 7 dni karcu. Dni były mroźne, w nieopalonym karcu było bardzo zimno. Służba więzienna chcąc doprowadzić F. do tego, aby się upokorzyła, straszyła dziewczynę wspomnieniem, że przed dwoma dniami w karcu leżał trup. F. nie ulękła się. Stojąc na stanowisku, iż nie jest „karaną", lecz „krzywdzoną", weszła do karcu butnie, z pieśnią rewolucyjną na ustach. Przez kilka godzin korytarz brzmiał jej śpiewem: „Krew naszą długo leją kaci"...

Śpiew ten był wyrazem jej uczuć w tej chwili — ale jednocześnie był zemstą nad oddziałową.

Uważając, że dziewczynie stała się krzywda, że dozorczyni postąpiła z nią niesłusznie, że przebywanie w karcu w zimną noc musi być dla niej straszne, zwracałyśmy się w tej sprawie do naczelnika. Obiecał nam uwolnić uwięzioną, byleby, gdy on przyjdzie wieczór, robić t. zw. „powierkę", F. poprosiła go o to (inaczej, ze względu na powagę oddziałowej zrobić nie mógł). [1]) Wiadomość tę podałam F. przez drzwi. Ale ona z dumą oświadczyła mi, że ponieważ ukarano ją niesłusznie, bo była delegatką i miała prawo „iść do naczelnika", nie będzie ona o nic prosiła, ani za nic przepraszała — wreszcie, że ona nie jest takim tchórzem jak te, co ją wybrały a potym się za nią nie ujęły. Spędziła tedy dzień i noc w karcu, a nazajutrz skończyło się tym, że myśmy za nią musiały poprosić. Wyszła z karcu z twarzą mocno zapuchniętą — zapewniała nas jednak, że to zwykłe następstwo przebywania w zimnej bardzo celi. Przeniesiono ją do więzienia na Spokojną — tak, iż raz tylko widziałam się z nią. Wyglądała bardzo szaro. Fizjognomja jej nie mówiąca, zmieniła się odrazu, gdy zaczęła mówić o minionej awanturze. Uważała, że spotkała ją krzywda od zwierzchności więziennej i od towarzyszek — szła naprzeciw niej z głową podniesioną, gotowa do walki.

. . . .

O. młoda, mała, drobna, o czarnych, żywych oczach, zadartym nosku i bardzo krzykliwym głosie. W więzieniu była dobrze znaną i lubioną. W chwili, gdy do ratusza przyszła, wakował urząd „porządkowej"; powierzono go O. Zabrała się bardzo energicznie do nowych obowiązków, postanowiła zrobić porządek ze starymi, to jest te, które grzeszyły nieporządkiem, zaczęła wyrzucać na korytarz wiodący do „Dumy". Powstałe stąd krzyki i lament — sprowadziły nas na korytarz — i tu poznałyśmy naszą nową „porządkową". Porozumiałyśmy się bardzo prędko: O. doszła do przekonania, że starych wyrzucać nie można. Energję swą zwróciła natychmiast w innym kierunku — postanowiła „sprawiedliwie" rozdzielić pracę więzienną (mycie, sprzątanie i t. d.), zapędzić wszystkie do roboty.

I znów zabrzmiał korytarz hałaśliwymi rozkazami O., krzykiem i płaczem chorych i warjatek. Zaczęłyśmy tedy tłumaczyć O. szczerze, że jest za młoda, za gwałtowna na sprawowanie tak odpowiedzialnego urzędu. Na to nasze twierdzenie zgodziła się natychmiast — bez żalu, dobrowolnie złożyła zaszczytną godność, którą z taką radością obejmowała. Wogóle z pozoru ostra, gwałtowna, dała się jak dziecko prowadzić. Było to rzeczywiście dziecko, wesołe, śpiewające, uśmiechnięte, ruchliwe, wszystko traktujące jak zabawkę, a przedewszystkim pragnące się wszystkim podobać. Czarną swą główkę owijała czerwoną chusteczką, wpinając w nią jeszcze pożyczone świecidełka; szczerzyła w uśmiechu ząbki do mężczyzn — aresztantów, do strażników, do oddziałowych, do towarzyszek, do nas wreszcie. Bawiąc się krzyczała i rządziła; dla podobania się nam (platonicznego, bo nic od nas nie potrzebowała i nie brała), ścichła i złagodniała w stosunku do towarzyszek. Nieraz myślałam — o chwili, gdy dziecku temu otworzą się oczy, o chwili, gdy tragiedja zarazy, wiszącej nad jej głową, stłumi śmiech.

. . . .

Z., to młoda, 18-to letnia dziewczyna, od lat 3-ch prostytutka. Siostra cioteczna przywiozła ją z Żyrardowa do Warszawy „do służby", a oddała do domu publicznego, w którym sama „pracowała". Drobna, wątła, niedorozwinięta fizycznie, o nikłej, pospolitej twarzy, cicha, nieśmiała, wiecznie na usługach innych. Z. to jedna z tych biernych natur, które zawsze pójdą tam, dokąd ją pchną. Z zawodem jej łączyła ją tylko chęć ubrania się. Rozpytywała nas raz o teatr — skończyła tym, że żałuje, iż nie wstąpiła do teatru, bo tam łatwiej ładnie się ubrać. Z. z przerażeniem patrzała w przyszłość, bojąc się zarazy. Czuło się, że łatwo bardzo porzuciłaby swój zawód, gdyby jej kto dopomógł — sama jednak nie będzie miała sił i energji, aby to uczynić. Aresztowana na ulicy za to, że nie stawiła się kilka razy z rzędu w komitecie sanitarnym, miała być odstawioną do miejsca urodzenia. Biadała nad tym, co z sobą zrobić — nie miała ani grosza. „Pani" prowadząca zakład na listy Z. o przyniesieniu jej bielizny i kilku złotych na powrót do Warszawy — nie odpowiadała wcale. W Żyrardowie—do rodziców wstydzi się pójść, „bo jak im się pokaże?". Z. umiała czytać i czytała chętnie; dziwnym przy jej braku inteligiencji wydawało mi się upodobanie jej do poezji — „Piosenki" Konopnickiej, Asnyka podobały jej się lepiej niż powieści, a gdy raz dobrała się u nas do liryk Tetmajera — była nimi zachwycona.

Wogóle Z. było to małe, bezradne, głupie dziecko, bez temperamentu, bez inteligiencji, bez możności zrozumienia i odczucia krzywd swoich życiowych. Ileż podobnych jej dziewcząt spotykałam w innych sferach, gdzie były cichymi, poczciwymi zerami...

IX. My i one.

Tradycja dzikiego, wiekami uświęconego stosunku społeczeństwa do najniższej jego sługi, parjasa, prostytutki, odbijała się na naszych stosunkach do młodych towarzyszek z IV celi. Stosunek ten nie był nigdy prostym, zwykłym stosunkiem człowieka do człowieka, był on zawsze stosunkiem prostytutki do nieprostytutki i odwrotnie. Większość prostytutek przywykła patrzeć na siebie jako na coś małego, nikłego, z pokornym schyleniem głowy usuwając się z drogi „uczciwej", „porządnej", „nieprostytutce". Uważając za coś nadzwyczajnego traktowanie ich jako ludzi, cieszą się formami grzeczności. Oto kilka drobnych scen. Żegnając na korytarzu młodziutką L. idącą na etap, ucałowałam jej stroskaną twarzyczkę. Po chwili dziewczyna zastukała jeszcze do moich drzwi: przyszła mi podziękować, że pocałowałam ją „przy wszystkich".

Rozmawiającej z nami H. podałyśmy, częstując ją, pudełko ze smażonymi kasztanami. H. przyjęła to bardzo poważnie: uroczyście wzięła szczypczyki, rozszerzyła je, włożyła w nie kasztan i szczypcami zaniosła go do ust. Wszystko to robiła z namaszczeniem.

[1]) W tym miejscu zaznaczyć muszę, że obecny naczelnik więzienia jest człowiekiem, w stosunku do więźniów, uczciwym i ludzkim. Służbista, trzyma się przepisów więziennych, nigdy jednak osobiście nie utrudnia położenia więźnia, nie pogarsza jego niedoli. Przed 5 laty ratusz brzmiał wymyślaniami, uderzeniami służby, krzykiem i płaczem bitych więźniów, — teraz, przez ciąg mego dwumiesięcznego pobytu nie widziałam ani nie słyszałam bicia, wymyślania więźniom przez zwierzchność więzienną. Ta sama służba pod innym naczelnikiem nabrała kulturalniejszego obejścia, bardziej ludzkiego — nauczyła się panować nad rękami i głosem.

Scena była długa, milcząca. Natychmiast, bezpośrednio potym, H. zaczęła nagle opowiadać nam, jak raz w aptece i raz w cyrkule, wzięto ją za „porządną", jak z nią „poważnie" jeden pan rozmawiał. To podanie jej cukierków w pudełku, jak zwykłemu gościowi, przypomniało jej jedyne widocznie dwie chwile w życiu, gdy ją potraktowano tylko jak człowieka, nie jak prostytutkę.

U ogółu zabito już wszelką wiarę w duszę własną (czy może być większa krzywda!). Raz jednej z dziewcząt ofiarowałam biały kwiat. Powstał szyderczy śmiech: „prostytutce—biały kwiat niewinności". Mimo mej woli, nie skończyło się na obronie białych kwiatów, które niekoniecznie mają symbolizować niewinność, rozmowa przeszła na temat niewinności i tego, czy z życia zewnętrznego można przesądzać o niewinności duszy. Rzucenie tego pytania na razie wywołało milczenie, ale potym słyszałam na korytarzu rozprawę nad tą kwestją. Ogół poruszał ją ze śmiechem.

U pewnej, niewielkiej zresztą liczby prostytutek wyczuwało się jakąś dumę, godność osobistą. Te dumne odnosiły się do nas najczęściej wrogo, niechętnie. Zdawało mi się, że w tej niechęci był pewien rodzaj pogardy, pogardy jaką ma pokrzywdzony względem krzywdzicieli, uprzywilejowanych.

Trzeba wielkiej prostoty, wielkiej głębi prawdy duszy własnej, aby mimo wszelkich starych przesądów zachować zawsze ten stosunek prawdziwy. Jak łatwo siłą przyzwyczajenia z drogi owej zejść, świadczyć może fakt następujący.

Jedna z naszych towarzyszek, ta która nietylko czas swój, ale serce swoje niosła w ofierze, kiedyś weszła do celi naszej z radosną nowiną: „Udało mi się w IV celi wyłowić polityczną, przeniesiemy ją do celi dla politycznych". Ta chęć zabrania politycznej z celi IV, było przecież ciężką naszą winą wobec aresztantek, było rzuceniem im w twarz, że w głębi duszy uważamy je za takie nizkie, niegodne towarzyszki, że nie wchodząc w wartość człowieka, z góry rozstrzygamy o nim wyrazami „polityczna", prostytutka". A przecież to był pierwszy odruch. Dopiero rozmyślania, dyskusje doprowadziły do wniosku, że trzymanie się w oddzielnej celi możemy i wobec nich i wobec siebie *usprawiedliwić* tylko jednym: przyzwyczajeniem do pewnych warunków lokalnych życia, skutkiem czego nie istnieje dla nas możność życia tam, gdzie one (z innymi przyzwyczajeniami) żyć jeszcze mogą. Takie może być jedyne usprawiedliwienie — nie zaś podział na kategorje: politycznych i prostytutek.

Stosunek nasz do prostytutek nie był prosty, był sztucznie stwarzany, obmyślony, celowy, był on przedmiotem częstych wśród nas dyskusji. Zdania ścierały się. Jedne z chrześcijańską, siostrzaną miłością chciały się zbliżać, aby „upadłe" podnieść, umoralnić, chciały korzystać z każdej okoliczności, z każdego zdarzenia aby pomóc, ratować; starały się w rozmowie poruszać kwestję ich życia, aby poznać nieszczęście, z którym chciały walczyć, i jednocześnie otwierać oczy tamtych na stronę moralną ich życia, na „jego ohydę", na jego krzywdy.

Inne odrzucały drogę umoralnienia nietylko dla tego, że nie wierzyły w jej skuteczność, że nie przyznawały sobie t. j. obcym i obojętnym ludziom prawa wchodzenia w życie osobiste jednostki ludzkiej, lecz z jednej strony bały się dotykania przedmiotu, który mógł być bolączką duchową, a z drugiej strony w życiu prostytutki widziały nie winy, lecz krzywdy. Chciały swój stosunek do prostytutki upodobnić do stosunku z wszystkimi innymi ludźmi; jeśli stawiały sobie cel jakiś, to danie im możności życia, chociaż przez te chwil kilka, życiem normalnych ludzi.

Osobiście stoję na tym drugim stanowisku. Zbliżając się do prostytutki—silniej niż litość, czuję wstyd osobisty, współodpowiedzialność za krzywdę jej wyrządzaną. Za krzywdzicieli uważam nietylko kupującego ją mężczyznę, nietylko wyzyskujących ją pośredników, ale całe społeczeństwo, gdy za nawias ludzkości usuwa tę, której usług jedni żądają, a inni te żądania tolerują. Walka z prostytucją to nie pogardzanie prostytutkami, lecz szczepienie poszanowania ducha ludzkiego, szczepienie kultu miłości. Względem prostytutki jedyny nasz obowiązek, może i jedyny ratunek: *dążenie do przywrócenia jej pełni praw ludzkich*, tych praw, których nikt nie odmawia jej współuczestnikowi. Wierzę, że uszlachetni jej życie nie wykazywanie jego „ohydy", lecz pokazanie jej całego piękna i światła, jakie życie dać może; nie umieszczanie w zamkniętych przytułkach i domach poprawy, lecz odsłanianie przed nią widnokręgu tak szerokiego, jaki oczy jej dojrzeć, a dusza objąć jest w stanie.

. . . .

Jako wspomnienie dni ratuszowych stoją przed oczyma dwa obrazy:

Z jednej strony lumpen-proletarjat, gwałcący prawo społeczne, gdy wszystkie jego prawa ludzkie społeczeństwo zdeptało i zgwałciło. Z drugiej strony my, co współżyjąc z olbrzymią krzywdą ludzką, w pełnym hipokryzji milczeniu szczelnie zamykamy oczy: nie chcemy widzieć.

Lecz gdy na chwilę wzrokiem ją zmierzymy, usta szepczą bezwiednie:

A mnie, o Panie, żywot bogobojny,
I nędzne cnoty me przebacz z litością,
I białe łoże, gdzie skonam spokojny,
I tych, co oczy mi zamkną z miłością.

Staff.

Stefanja Sempołowska.

BADANIA NAUKOWE.

Lyell.

Rok bieżący jest rokiem potrójnie jubileuszowym: jako setna rocznica urodzin Darwina, jako rok setny od czasu wydania „Philosophie zoologique" Lamarcka i jako rok pięćdziesiąty, upływający od chwili ogłoszenia dzieła Darwina: „On the Origin of species". Sądzę, iż słuszna i sprawiedliwa rzecz jest, aby w roku trzech jubileuszów teorji ewolucji przypomnieć czytelnikom postać uczonego, który również poważne ma stanowisko w tej sprawie.

Darwin w jednym miejscu swej autobiografji powiada co następuje: „Przyszło mi na myśl, że *idąc za przykładem tego, co Lyell uczynił dla gieologji*, oraz zbierając wszelkie fakty, związane z kwestją zmienności zwierząt i roślin domowych oraz naturalnych, można będzie prawdopodobnie rzucić nieco światła na cały ten przedmiot". W tych słowach niedwuznacznie zupełnie daje się widzieć, że myśli i prace gienjalnego gieologa angielskiego niepośledni wpływ wywarły na twórcę teorji ewolucji, a poniekąd były dlań pobudką. Stąd więc nie od rzeczy będzie wyjaśnić znaczenie prac Lyella. Przed tym jednak słów kilka z jego biografji.

Sir Charles Lyell, syn botanika tegoż imienia, urodził się 14 listopada 1797 roku w Kinnordy (hrabstwo Forfarshire) w Szkocji środkowej. Do roku 1816 studjował w Oksfordzie prawo, poczym był adwokatem, lecz zawsze najżywszym jego zamiłowaniem były jego studja gieologiczne. W roku 1823 został obrany na sekretarza towarzystwa gieologicznego w Londynie, w roku 1831 otrzymał katedrę gieologji w King's

College. Najsłynniejszym i najważniejszym jego dziełem są trzytomowe „Principles of geology" wydane po raz pierwszy w Londynie w latach 1830—1833 a mające w języku angielskim 12 wydań i bardzo wiele przekładów. W roku 1837 wydał „Elements of geology". W roku 1841 i 1842 podróżował po Ameryce północnej,poczym wydał „Travels in North America, with geological observations etc". Powtórzył to w roku 1845 i 1846 i rezultaty powtórnej podróży ogłosił w dziele zatytułowanym „A second visit to the United States". W roku 1851 wychodzi jego „Manuel of elementary geology". Duże znaczenie i rozgłos posiada jego rozprawa o dawności rodu ludzkiego p. t. „Geological evidences of the antiquity of man". Oprócz badań Wielkiej Brytanji i wspomnianych podróży amerykańskich, zwiedził całą Europę zachodnią i północną. W najkrótszym nawet życiorysie tego niezwykłego człowieka niepodobna pominąć, że wydane w roku 1845 jego przekłady na język angielski liryk Dantego krytyka literacka bynajmniej nie lekceważy. Sławny i pracowity żywot zakończył 22 lutego roku 1875.

Kiedy młodociany Lyell zabierał się do badań gieologicznych, w nauce o ziemi panowały bezwzględnie teorje ludzi tak wielkiej powagi jak Buffon, Elie de Beaumont a przedewszystkim Cuvier. „Katastroficzność"—to wyraz najlepszy na krótkie zobrazowanie poglądów wspomnianych uczonych. Poglądy te, choć dawne, choć całkowicie do wieku ośmnastego się odnoszące, jednak długo jeszcze w wieku dziewiętnastym trwały, w pewnej bowiem mierze były dla nich ostoją wulkaniczne hipotezy Aleksandra Humboldta i Leopolda von Bucha.

Cuvier był pierwszym uczonym, który do badania tworów wymarłych zastosował konsekwentnie metody naukowe. Wyjaśnił on, że rozmaite, kolejno po sobie następujące w skorupie ziemskiej serje warstw odznaczają się właściwymi sobie szczątkami zwierzęcymi; dowiódł on zarazem, że różnice pomiędzy poszczególnymi takimi zbiorowiskami zwierząt wygasłych są równie znaczne jak te, które dzielą najmłodsze z nich od dziś żyjących. Wywnioskował on stąd, iż każdy z wielkich ciągów czasu posiadał swój odrębny świat zwierząt i roślin i że każdy z nich kończył się wielką katastrofą, powodowaną siłami znacznie potężniejszymi od działających dziś na ziemi. Katasrofa taka miała wypleniać i burzyć doszczętnie wszystko życie, przygotowując niejako teren do zupełnie nowego aktu stworzenia. Nauka Cuviera była w zgodzie z twierdzeniami wspomnianych wyżej gieologów o raptownym powstawaniu wulkanów i pasm górskich przez wydźwiganie jednorazowe. Zasadniczym zaś punktem tej nauki było twierdzenie, że w ziemi działają raptownie jakieś siły ukryte, przepotężne i co najważniejsza, że siły te nie podlegają ogólnie poznanym prawom fizyki i chemji.

Ten sposób tłumaczenia zjawisk gieologicznych słusznie podnosił przeciw ówczesnej nauce o ziemi fizyków i chemików. Ściśli badacze lekceważyli sobie ten odłam wiedzy, jako oparty na cudowności.

Głębokie przekonanie o słuszności praw fizyki i chemji, opartych na doświadczeniu i rachunku, nie pozwoliło Lyellowi przypuszczać ani na chwilę, aby konsekwencja i stałość tych praw mogła kiedy być zachwiana. Wolał raczej widzieć niedostępność badań niż cudowność zjawisk. Badając pilnie i drobiazgowo kratery wulkaniczne, doszedł do wniosku, że nie są to utwory wydźwignięte, lecz zwolna przez wybuchy usypane. Studja nad utworami brzeżnymi Szwecji przywiodły go do przekonania, że szwedzki brzeg półwyspu Skandynawskiego podnosi się zwolna.

Na zasadzie dokładnego poznania Niagary przekonał się, że wodospad zwolna się cofa, odbywa ruch wsteczny i zostawia przed sobą wąwóz stromościenny czyli t. zw. kanion i t. d. i t. d. Zaprzeczył więc nagłemu wznoszeniu się łańcuchów górskich, odrzucił teorję gwałtownych powodzi, wystąpił przeciw przypisywaniu wpływu ciepła wewnętrznego ziemi na klimaty, wypowiedział wogóle walkę wszelkim przypadkowościom, wszelkim teorjom niezgodnym z prawami fizyki i chemji. Natomiast ustalił zasadę, że na ziemi i w ziemi działają i działały zawsze te same czynniki z tym samym napięciem, że w zjawiskach odbywających się obecnie możemy znaleźć zupełne wyjaśnienie zjawisk minionych. Najważniejsza zaś zasada nauki Lyella polega na ugruntowaniu dowodami, że największe rezultaty mogą powstawać i powstają przez wielokrotne powtarzanie się przebiegów spokojnych, zwykłych, codziennych, ciągnących się przez czas bardzo długi.

Słuszność nie pozwala przemilczeć, że gieolog niemiecki *Karl Hoff* w roku 1822 ogłosił dzieło p. t. „Geschichte der durch Ueberlieferung nachgewiesenen natürlichen Veränderungen der Erdoberfläche", w którym wygłosił również protest przeciw katastrofom, ale podobnie jak to się działo z poprzednikami Darwina, nie zdołał przekonać, gdyż nie przytoczył takiego nawału faktów doskonale ustalonych, jak to właśnie uczynił Lyell.

Niegdyś, jeszcze w wieku siedmnastym Vallisueri marzył, aby można było zjawiska przyrodzone tłumaczyć bez gwałtu, bez baśni, bez przypuszczeń, bez cudów. To właśnie uczynił Lyell.

Wielki odłam wiedzy ludzkiej podniósł do godności nauki indukcyjnej, wskazał drogę do poznawania przeszłości przez badanie teraźniejszości, ustalił zasadę, że niema zjawiska tak drobnego, aby ciągnąc się przez czas dość długi nie spowodowało najpotężniejszego nawet wyniku, wykorzenił wiarę w przeskoki, ustalił przekonanie o ciągłości zjawisk, podkopał wiarę w siły nadprzyrodzone, przekonał o jedności sił natury.

Widzimy przeto, że w Lyellu a raczej w jego pracach cenić winniśmy nie tylko podniesienie gieologji, ale wogóle myśl ogólnie filozoficzną. Prócz tego, bez zasad ugruntowanych w nauce przez Lyella teorja ewolucji nie mogłaby się utrzymać. Aby mogła ona święcić te tryumfy jakie święci, musiały przed tym być do archiwum złożone „katastrofy".

Z. Weyberg.

Henryk Apolinary Konn: **Prawa wyjątkowe.** Warszawa 1909 roku.

Sprawa tak zwanych praw wyjątkowych od wielu dziesięcioleci jest dla nas ciągle aktualną, a już stała się prawdziwie palącą od czasu ogłoszenia u nas stanu ochrony wzmocnionej i stanu wojennego w 1905 roku.

Przeżyliśmy już całą skalę ochron wzmocnionych, nadzwyczajnych i nad-wyjątkowych, stanów wojennych. Przechodzimy od jednego do drugiego odcienia wyjątkowości, od mniej do więcej jaskrawego i odwrotnie, ale rzecz sama w gruncie rzeczy się nie zmienia. Pomijając już okoliczność, że prawa obywatelskie o tyle tylko dostateczną mają gwarancję, o ile poszanowanie ich stało się już instynktem zarówno rządzących, jak i rządzonych, lub o ile stosunek sił społecznych jest tego rodzaju, że prawa obywatelskie są w stanie nakazać dla siebie szacunek, samo prawo obowiązujące w Państwie Rosyjskim wogóle, a w Królestwie Polskim w szczególności, praw obywatelskich właściwie nie uznaje nawet w miejscowościach, w których żadnego stanu wyjątkowego nie ogłoszono.

Prawo z dnia 23 kwietnia 1906 roku zawiera w sobie coś w rodzaju „deklaracji praw człowieka i obywatela (Swod Zakonow, t. I art. 72-81), zapew-

niono w nim bowiem poddanym rosyjskim wszystkie zwykłe swobody osobiste i obywatelskie (nietykalność osobista, nietykalność mieszkania, swoboda przenoszenia się z miejsca na miejsce i wyjazdu za granicę, nietykalność własności, swoboda zebrań, stowarzyszeń, słowa i sumienia), przy każdej jednak z tych swobód dodano: „w granicach wskazanych przez prawo”lub też„z ograniczeniami ustalonymi przez przepisy specjalne”. Ponieważ zaś prawie wszystkie przepisy specjalne, ograniczające jednostkę, pozostały bez zmiany, więc oczywiście, że owe „prawa poddanych rosyjskich” z 1906 r. tak rozpływają się w masie przepisów specjalnych, że wszystko w nich znaleźć można, oprócz... swobód osobistych i obywatelskich.

Rozmaite komisje w Dumie zajęte są opracowaniem nowych przepisów. Ale zdaje się, że nie mają one na widoku rozszerzenia zakresu swobody. Tak np. według *Siew. Zap. Golosa*, komisja opracowująca projekt prawa o nietykalności osobistej, przy głównym współudziale Gołołubowa i Zamysłowskiego, stworzyła dzieło, które jedna przenika tendencja: „nie stawiać przeszkód policji i żandarmerji na drodze do zabezpieczenia porządku i spokoju publicznego i nie tamować samodzielności i niezależności policji”. Jeżeli więc te „przepisy specjalne”, które zakreślać mają granice swobód obywatelskich, zachowają swój dotychczasowy charakter, to oczywiście, że w całym państwie, a u nas w szczególności, stan wyjątkowy będzie stanem normalnym, [1] jak dotychczas.

Rutyna państwowa czyni przepisy wyjątkowe najważniejszym a stałym narzędziem w rękach rządu, jak to zresztą wykazuje Najwyżej zatwierdzony dziennik Komitetu ministrów z dnia 10/23 lutego 1905 roku, nic więc dziwnego, że wprowadzenie do państwa pewnych podstaw porządku prawnego rozpoczęto od reformy przepisów wyjątkowych. Specjalna komisja pod prezydencją hr. Ignatiewa, a potym komisja międzywydziałowa, z towarzyszem ministra Makarowa na czele, opracowała projekt, który stanowi właśnie źródło powstania książki p. Henryka Apolinarego Konna p. t. „Prawa wyjątkowe”. Ocena tego projektu, powierzona autorowi przez redakcję *Gazety Sądowej*, skłoniła go do szerszego rozważenia przepisów wyjątkowych i stąd powstała wzmiankowana książka.

Autor zapoznaje przedewszystkim czytelnika z przepisami, dotyczącymi zawieszenia swobód obywatelskich w państwach zachodnio-europejskich oraz republikach amerykańskich, a następnie przechodzi do Rosji i Królestwa Polskiego, dodając na koniec krótki rys historji t. zw. „Sądów Kapturowych”, które funkcjonowały w Rzplitej pomiędzy śmiercią jednego króla a wyborem drugiego.

Autor sumiennie i krytycznie przedstawił przepisy obowiązujące oraz ocenił projekt, był jednak w wykonaniu swych zadań nad miarę objektywnym, wskutek czego nie przedstawił czytelnikom właściwego prawno-państwowego znaczenia przepisów wyjątkowych ani wogóle, ani w systemacie rządu rosyjskiego w szczególności. Jeżeli wszakże w książce p. Konna niema odpowiedzi na pytania, które cisną się każdemu z nas w tej palącej dla nas sprawie, to natomiast jest tam obfitość materjału informacyjnego, poddanego krytyce prawnej.

Z tego względu książka p. Konna ukazała się bardzo na czasie i stanowi użyteczny nabytek naszej literatury prawno-politycznej.

Józef Lange.

[1] Pamiętać bowiem należy, że w prawie o ochronie wzmocnionej i nadzwyczajnej z d. 4 września 1881 r. istnieją „przepisy dla miejscowości nieogłoszonych za będące w stanie wyjątkowym“ oraz „przepisy o zesłaniu administracyjnym“, które nadają władzom administracyjnym nadzwyczajne pełnomocnictwa. W Królestwie Polskim oprócz tego nadają je stale obowiązujące: uchwała b. Komitetu do spraw K. P. z 1876 r., uchwała Komitetu Ministrów z 1854 r., Ukazy Najwyższe z 1900 i 1902 r.

LITERATURA i SZTUKA.

Wystawa malarska trzech kobiet.

Münzer-Neumanowa, Łada Małgorzata, Stano Poradowska.

Z pomiędzy stosunkowo wielu kobiet uprawiających sztuki plastyczne, nader mała liczba odznacza się wybitniejszym talentem, a nawet i w tym wypadku jest to zawsze talent tylko odtwórczy, kroczący po ścieżkach udeptanych, a nigdy nie samodzielnie twórczy, nowe mający wskazywać drogi. Stąd zazwyczaj w najlepszych nawet pracach kobiecych spostrzegamy refleksy twórczości męskiej, słabiej lub silniej odczute i wyrażone.

Prace takie mogą być bardzo ciekawe i znaczną posiadać wartość, wyróżniając się dodatnio z szeregu przeciętnych utworów męskich, nie wznoszą się jednak do poziomu prac oryginalnie twórczych.

Bardzo mało posiadamy kobiet artystek o wybitniejszym talencie, to też każda praca kobieca odróżniająca się czymśkolwiekbądź od szarej przeciętności, zasługuje zawsze na baczniejszą uwagę.

Warszawa mieści w sobie obecnie wystawy prac trzech kobiet malarek, prac dosyć interesujących i zupełnie między sobą różnych, jak odmiennym jest rodzaj talentu każdej z tych artystek, ich temperament i nastrój. Dwie z nich są Polkami, trzecia jest cudzoziemką, zdaje się, na stałe osiadłą w Warszawie.

Pani Käthe Münzer-Neumanowa wystawiła swe prace w Zachęcie; są to rysunki, akwarele, studja i portrety olejne, krajobrazy, sceny rodzajowe, dające dokładne świadectwo o rodzaju talentu artystki, który najzupełniej pozbawiony jest oryginalności i wykazuje mnóstwo wpływów obcych, a przeważnie Liebermanna. Zarówno w rysunku jak i w kolorycie, w technice, w wyborze tematów i ich pojmowaniu są one widoczne, a niema nic albo bardzo mało tego, coby świadczyło o indywidualności samej artystki. W rysunkach piórkowych spotykamy się z traktowaniem nowoczesnym albo raczej z naśladownictwem ilustracji angielskich, gdy technika olejna jest stara, niemiecka, a kolorytowi brak siły i świeżości. A jednak w pracach tych znać duże wyrobienie. Może to, co wykona u nas tutaj i wystawi pani Neumanowa, wykaże ją w bardziej oryginalnym i dodatnim świetle.

Więcej subtelnego odczuwania i artyzmu a także i więcej samodzielności wykazują prace pani Małgorzaty Łada, wystawione również w Zachęcie. Są to także portrety i studja przeważnie pastelowe,a z pomiędzy nich wyróżniają się dodatnio cztery niewielkie studja traktujące tę samą postać starej kobiety przy różnym oświetleniu i pozie. Jest w nich doskonałe poczucie ruchu, charakteru i bardzo dobre odczucie światła. Mały pastel z trzema pastuszkami jest pod każdym względem wyborny. Jest w nim śmiałe i szerokie traktowanie mas barwnych i linji. Wszystkie prace odznaczają się dobrze wyrobioną techniką i poczuciem koloru.

Trzecia z artystek,p. Stano-Poradowska wystawiła szereg swych prac w salonie Kulikowskiego. Odznaczają się one wszystkie brawurą w traktowaniu dochodzącą do brutalności, kolorytem, który w wielu pracach mógłby być silnym a jest przejaskrawionym

w wyrazie, który dochodzi do karykatury. Widzieć we wszystkim, że artystka nietylko nie chce się hamować, ale z zamiłowaniem dąży do brzydkiej przesady. Temu należy przypisać umieszczenie na jednym z obrazów wstrętnie ohydnej postaci zniekształconego dzieciaka, który ma symbolizować (oh te symbole!) amora kawiarnianego. Jeżeli pani Stano-Poradowska miała zamiar, pracując nad dziełem sztuki, wykazać ohydę miłości sprzedajnej, kawiarnianej, to powinna by była poznać podobnego rodzaju prace Ropsa albo Toulouse-Lautrec'a, a przekonałaby się, że można wykonać znakomite i piękne dzieła sztuki, ukazując ohydne strony życia ludzkiego.

W Zachęcie przez czas niedługi istniała wystawa grupy Ślewińskiego, składająca się z trzydziestu prac tego wybornego pejzażysty i prac kilku jego uczniów zapewne. Kra obrazy Ślewińskiego odznaczały się świetnym poczuciem bogatych tonów i doskonałą techniką. Do najlepszych jednak należały kwiaty i owoce. Z prac innych artystów odznaczały się siłą kolorytu ale i brakiem wyrobienia pejzaże p. Żaboklickiego. Ten artysta zdaje się obiecywać dużo.

Wincenty Trojanowski.

Wincenty Lutosławski—**Religja w życiu narodowym.** Nakładem *Przeglądu Narodowego.* Warszawa, 1909.

Nowa rozprawa p. Lutosławskiego składa się z dwuch części. Do pierwszej (o roli pierwiastków wiary w psychicznym i społecznym życiu człowieka) możnaby zastosować słowa Helmholtza o tego rodzaju dociekaniach: „zawikłana gadanina o prostych i jasnych jak dzień rzeczach". Zaś część druga (o roli kościoła w życiu narodu polskiego) stanowi stek słabo powiązanych myśli, półmyśli i ćwierć myśli, o których da się powiedzieć, że tu absurd siedzi na absurdzie i absurdem pogania. „Czym się wiara katolicka różni od innych chrześcijańskich wyznań i od innych głównych, wielkich religji"? pyta autor. Posłuchajmy odpowiedzi: „Wszystkie sekty i kościoły są wyłączne, obiecują zbawienie wieczne tylko swoim wyznawcom. Kościół katolicki pod tym względem zajmuje całkiem wyjątkowe i zupełnie odmienne stanowisko, zbyt mało znane wśród samych wyznawców"(!) Co jak co, ale powiedzieć, że kościołowi katolickiemu obcą jest wszelka wyłączność, na to trzeba mieć dużo odwagi, no i bardzo dużo dziwnej pewności, że wydając taki sąd, nie jest się śmiesznym. Może zresztą milsze dla autora wytłumaczenie znajdziemy w jego wyjaśnieniach o duszy kościoła, gdzie powiada: „Na to, by uwierzyć w naukę o duszy Kościoła, *trzeba optymizmu nadzwyczajnego*", (czyli zaślepienia?). Z całą pewnością!

Ale oto klasyczny wzór rozumowania p. L. o genezie Inkwizycji: „Przejęte od dzikich Maurów okrucieństwo, którego charakterystycznym wyrazem są odbywające się nawet w XX w. walki byków, jest wystarczającym (!) wyjaśnieniem Inkwizycji hiszpańskiej"... A Inkwizycja we Włoszech, w Niemczech, we Francji — to także wpływ Maurów? „Uznanie tej Inkwizycji przez władze duchowne — powiada pan profesor — właściwie staje się raczej przykładem tolerancji Kościoła powszechnego dla złych skłonności niektórych jego członków" (!!). Wincenty Lutosławski jest niewątpliwie pierwszym na kuli ziemskiej pisarzem, który w ten sposób pojmuje szereg największych zbrodni, jakie przecierpiały chrześcijańskie narody, a których źródło było par excellence religijne: głębokie przekonanie o wyłączności zbawienia przez Kościół i fanatyczna wiara w to, że męcząc heretyka, czyni mu się dobrodziejstwo, gdyż zmuszając do porzucenia herezji, zbawia go się od wiecznych męczarń w piekle. Pobłażliwość autora dla wszelkiego zła, jakie się dzieje w łonie kościoła katolickiego, przechodzi wszelkie granice i nie zna nawet hamulców etycznych.

Tak! Oto dowód: mówiąc o ciężkich warunkach w jakich żyje duchowieństwo polskie, autor twierdzi, że „można bardzo wiele wybaczyć naszym księżom, dopóki przynajmniej wiarę utrzymują i obrządki sprawują, a *wartość tej wiary*, obrządków, sakramentów, *z punktu widzenia samego Kościoła nie może wcale zależeć od wartości jednostek*, przeznaczonych w dzisiejszych okolicznościach do zaspokojenia potrzeb religijnych ludności katolickiej". Czyli, że moralna wartość kapłana, a wartośc wiary przezeń wyznawanej i podtrzymywanej — mogą to być dwie różne rzeczy?! I potym takie zdanie: „Kościół jest sprzymierzeńcem, zasługującym na wielkie względy nawet ze strony Polaków niewierzących" — (przezeń przeklinanych i prześladowanych! . Chcąc wykazać wielką powagę Kościoła w oczach Polaków, autor między innymi zalicza Słowackiego do „wiernych kotolików". Wypadałoby więc, według p. L., że można być wiernym katolikiem, będąc jednocześnie zdecydowanym i gorącym wrogiem papiestwa, jakim był Słowacki (patrz Nr. 15-ty *Prawdy*). Nie będę dłużej nudził a raczej bawił czytelnika cytatami. Ale niechaj jeszcze ubawi się czytelnik sądem Lutosławskiego o Świętochowskim: „Wpływ żydowski na umysłowość polską wyraża się nietylko w partjach socjalistycznych, ale także w działalności takich publicystów, jak Świętochowski, który Żyda Spinozę uważa za swego mistrza (nieprawda, uważa go tylko za wielkiego myśliciela, zgodnie z sądem największych umysłów świata), i wbrew całej (!) aryjskiej tradycji (co za patos!) a szczególnie wbrew polskiemu charakterowi narodowemu (czytaj: wbrew charakterowi p. Lutosławskiego) przyjmuje semicką doktrynę determinizmu (to znaczy, że każda rasa tworzy swoją doktrynę filozoficzną!), szerząc ją w utworach dramatycznych i artykułach dziennikarskich" (str. 43)

Dość! Na to, by uwierzyć w powagę i zdrowy rozsądek p. L. „*trzeba optymizmu nadzwyczajnego!*"

W.

Jan Bełcikowski — **Papieże a kwestja polska w XIX wieku.** Warszawa, 1909.

Treść tej broszury stanowią dokumenty krzywd wyrządzanych narodowi polskiemu przez papieży i jaskrawa charakterystyka ogólnej polityki papiestwa w XIX wieku. Autor omawia na wstępie słynną encyklikę Grzegorza XVI z d. 9 czerwca 1832 roku, w której to ów „sługa sług" (servus servorum) a otwarty wróg Polski powstanie nazywa „machinacją kilku krętaczy i oszustów, którzy pod płaszczykiem religji podnieśli głowę przeciwko uświęconej prawem potędze władców". Dalej autor przypomina encyklikę tegoż papieża (z dn. 15 sierpnia 1832 r.) do wszystkich biskupów, encyklikę pełną urągowisk pod adresem „wyuzdanej wolności zwolenników, tego plugastwa i ohydy rodzaju ludzkiego". Encykliki Piusa XI i Leona XIII i ich stosunek do sprawy polskiej wypełniają dalszą treść broszury. Zbadanie dyplomatycznej szacherki papiestwa i wiecznej obłudy, wykazanie braku wszelkiej sympatji dla narodowych dążeń polskich i zastanowienie się nad interesami papiestwa prowadzi autora do wniosku, iż „myśl papieży, marząca od wieków o utożsamieniu się z myślą cesarzy, dążyła do ostatecznej depprawacji ducha polskiego, a samo imię Polski dla niej wstrętne było".

P. Bełcikowski kończy rzecz swoją gorącymi pełnymi bólu i wzgardy słowami, jakie, według niego, naród polski rzucić winien w twarz papiestwu.

W.

Marja Dunin Sulgustowska. „**Slöjd**" — odbitka z *Nowych Torów* — Skład główny u autorki, Widok 14 m. 16.

Niema chyba społeczeństwa, w którymby kobieta, jak u nas, podejmowała sprawy wychowania z takim bezwzględnym zaparciem się wszystkich osobistych celów i dążeń, ze złożeniem na ołtarzu dobra ogólnego własnych porywów i marzeń ambitnych.

Do przodownic samoofiarności w tym kierunku należy M. Dunin - Sulgustowska, która z ciężkim nakładem sił, czasu, energji i pieniędzy usiłuje od lat 20-u blizko rozbudzić w nas zamiłowanie do skandynawskich robót ręcznych, tego niezmiernie ważnego czynnika wychowawczego, oddziaływającego zbawiennie nietylko na cielesny ale i na duchowy ustrój jednostki.

P. D. otworzyła pierwszą u nas szkołę slöjdu („slögh" od skandynawskiego wyrazu, który znaczy zręczny w palcach"). Mimo iż zakład jest rozsadnikiem robót ręcznych na całe Królestwo i kolonje polskie w cesarstwie, dostarczając rok rocznie zastępu wyćwiczonych nauczycielek,—jednak do tej pory jeszcze nie pokrywa kosztów utrzymania... Chcąc utrzymać go na wysokości zadania, nie przeoczyć ani jednego szczebla postępu, p. D. jeździ co parę lat do Szwecji, Danji i Norwegji,przywożąc stamtąd najnowsze reformy i udoskonalenia w zastosowaniu slöjdu do zadań wychowawczych. Po za szkołą p. D. piórem i żywym słowem popiera slöjd u nas. Niedawno nakładem Kasy im. Mianowskiego, wydała przyswojoną ze szwedzkiego książkę Hierty Retzius „Pracownie dziecinne", która stanowiąc szczegółowy obraz zastosowania slöjdu w szkołach i ochronach na półwyspie Skandynawskim, jest cennym drogowskazem w tym kierunku i dla nas. Obecnie pojawiła się jej własna praca p. t. „Slöjd", w której autorka w sposób niezwykle jasny, prosty i przekonywający tłumaczy doniosłość wprowadzenia robót ręcznych do programu szkolnego i zbija zarazem szereg błędów w ogólnym pojmowaniu słowa „Slöjd".

Broszurka powinna znaleźć się w rękach tych wszystkich, którym postęp w dziedzinie wychowania leży na sercu.

cw.

Z PRASY.

Z prasy rosyjskiej.

Prasa rosyjska w tygodniu ubiegłym wiele miejsca poświęciła sprawie polskiej. Dwa były do tego powody: zjazd słowiański w Petersburgu, oraz pogłoska o zniesieniu fortec i zmniejszeniu liczebności załogi wojskowej w Królestwie Polskim.

Zjazd, zwołany przez słowiańskie towarzystwo dobroczynności, w projekcie bardzo skromny, przybrał w rzeczywistości rozmiary, które stały się niespodzianką dla jego inicjatorów. Przyczynił się do tego głównie Szarapow, który, wedle wyrażenia *Rieczi* „wywołał zupełny skandal w szlachetnej rodzinie, wyłożywszy swoje dawne opinje o zbliżeniu polsko-rosyjskim w nieco odświeżonej neosłowiańskiej odzieży".

„W liczbie postawionych przezeń dziewięciu tez, pisze dalej *Riecz*, znajdują się między innymi twierdzenia, że „imperjalizm rosyjski poniósł zupełne bankructwo", że naród rosyjski jest „osłabiony i wyczerpany przez swą bezsensowną państwowość", że „Rosji grozi niebezpieczeństwo rozkładu wewnętrznego i najścia zewnętrznego Niemców" i że jedynym wyjściem z tego stanu marazmu, jedynym środkiem „podtrzymania byłej jedności państwowej i odrodzenia dawnej siły" jest konsekwentna polityka słowiańska", której pierwszym krokiem powinna być „restytucja praw narodowych i autonomicznych narodu polskiego". Ściślej określił p. Szarapow swój program polski następującymi słowy: „Rozstrzygnięcie słowiańskie kwestji polskiej, jest to odbudowanie najlegalniejszych praw narodu polskiego w jego granicach etnograficznych, wyrażające się w zupełnej autonomji Królestwa Polskiego i zwrócie językowi polskiemu miejscowej administracji, sądu i szkoły, oraz zupełne równouprawnienie Polaków w całej Rosji".

Gorące rozprawy, które wywołał referat Szarapowa, poparty bardzo energicznie przez przedstawiciela moskiewskiego towarzystwa kultury słowiańskiej Milukowa, nie dały wszakże w rezultacie zwycięstwa zwolennikom autonomji Królestwa. Chociaż zjazd wyraził swe sympatje dla francusko-rosyjsko-angielskiego porozumienia, widząc w nim drogę do prawidłowego rozwoju sprawy słowiańskiej, a nawet uznał konieczność „sprawiedliwego rozwiązania kwestji polskiej u siebie w domu", odrzucił wszakże formułę Milukowa, a przyjął ograniczone żądanie Werguna samorządu „miejskiego i ziemskiego".

„Większość zebrania oczywiście, pisze dalej *Riecz*, nie rozumiała, że przyjmując nową redakcję, wydaje sobie *testimonium paupertatis* i osłabia znaczenie swoich poprzednich uchwał w kwestji polskiej, wykazując całą obłudę i beztreściwość smutnych frazesów o zupełnym i szczerym poszanowaniu praw wszystkich narodów, o rewizji w tym duchu ustalonych stosunków w narodzie polskim, a nawet o równouprawnieniu Polaków z Rosjanami w Rosji".

Ale *Riecz* nie dziwi się temu, sądzi że raczej „dziwić się należy, że do zatęchłej atmosfery zjazdu przeniklo kilka świetlanych promieni, że powzięto uchwały, o których w ścianach, zjazd goszczących, nie mówiono nigdy inaczej, jak przecząco lub ironicznie, że, nakoniec, w dziedzinie dążności międzynarodowych związanych z polityką słowiańską Rosji, zjazd zgodził się na uchwały bardzo treściwe i bardzo ważne dla pokrewnego słowiaństwa. Jakkolwiekbądź, ten *plus* zjazdu oznacza porażkę jego urzędowych kierowników. Ogromny zaś jego *minus*, odrzucone przezeń tezy, oddala większość zjazdu daleko poza linję, od której zaczyna się możność praktycznego i realnego oddziaływania na spółczesną politykę słowiańską".

„To też nie oni, nie te żywe trupy, drzemiące nad starzyzną „pradziadów", zdolne są pchnąć naprzód sprawę słowiańską, żywą, spółczesną, w zupełności skierowaną ku przyszłości i chciwie pijącą ideje wieku".

Chociaż więc pełne goryczy są poglądy *Rieczi* na rezultaty zjazdu, brzmi w nich i pewna nuta optymizmu: są w Rosji ludzie i grupy, którzy rozumieją, że autonomja Królestwa, to nie tylko sprawa polska, ale tak samo rosyjska, a nawet słowiańska. Ale rozwiązanie jej należy do przyszłości...

Głośniejszym jeszcze echem, niż zjazd słowiański, odezwała się pogłoska o zniesieniu twierdz w Królestwie Polskim i zamierzonym wycofaniu zeń znacznej części konsystujących tu wojsk, a raczej fejleton p. Witmera, według świadectwa *Nowej Rusi* dość głośnego znawcy spraw wojskowych, zamieszczony w półurzędowej *Rossji*. Fakt zamieszczenia artykułu w tym piśmie nadaje pogłoskom szczególne cechy prawdopodobieństwa, ze względu zaś na pewne wnioski autora, artykuł ma znaczenie znamienne.

Autor rozpoczyna od wykazania nieprawdopodobieństwa wojny rosyjsko-niemieckiej, wobec braku wszelkich do niej przyczyn.

Odwieczni przyjaciele nie będą prowadzili wojny o kraj nadbałtycki, Niemcy bowiem nie są tak naiwni, aby sądzili iż utrzymają długo pas kraju z mniejszością niemiecką, odcinający 150 miljonową ludność od morza.

„Może kraj Prywiślinskij, pyta p. Witmar, przedstawia właśnie smaczny kąsek dla Niemców? Ależ utrata

tego kraju byłaby tylko zyskiem dla Rosji i wojować o niego nie warto. Jedynie możliwą przyczyną wojny z Niemcami mogłaby być konieczność niesienia pomocy jednemu z sojuszników, ale i tutaj sprawa zapewne nie doprowadziłaby do stanowczej rozprawy zbrojnej. Niezależnie jednak od tego, gdyby nawet doszło do wojny rosyjsko-niemieckiej, i w tym nawet wypadku fortyfikacje i siły wojskowe zgromadzone w Królestwie Polskim, byłyby w wojnie zaczepnej — bezużyteczne, a w obronnej szkodliwe z punktu widzenia strategicznego.

A tymczasem dzięki uzbrojeniu Królestwa, dzięki konsystującym tam wojskom, Rosja *wzbogaca obcą sobie ludność*, ponosi koszta przewozu alimentacji i t. d., radzi autor punkta obronne przenieść w inne miejsca.

Ta okoliczność, że pozbawione obrony Królestwo może się stać łupem Niemców, autora nietylko nie przeraża, ale gotów jest nawet taki wypadek za zysk dla Rosji uważać. Uzasadnia to w sposób następujący:

„Ci sami Polacy, którzy zajmują tak wrogie stanowisko względem swych braci słowiańskich, Rosjan, dostawszy się pod ciężki obuch niemiecki, niewątpliwie zmienią swe uczucia ku nam na wprost przeciwne.

Zrozumieją oni wtedy różnicę pomiędzy bratnim stosunkiem Rosjan do Polaków, a ciężkim, systematycznym ujarzmianiem Słowiańszczyzny przez kulturę niemiecką i giermanizm. Wtedy uświadomią sobie także ogromne zyski, z jakich korzysta przemysłowa Polska, mając przed sobą otwarty ogromny rynek stumiljonowego narodu i to rynek nietylko dla zbytu swej produkcji materjalnej, lecz i dla umieszczania swej inteligiencji, którą z taką dobrodusznością przyjmujemy do siebie, napełniając nią niejednokrotnie całe departamenty, nawet całe ministerja.

Historja dowodzi, że Anglja nic nie straciła na oderwaniu Stanów Zjednoczonych. Ta sama historja wskazałaby niewątpliwie, że Rosja wygrałaby wiele na przejściu rosyjskiej Polski pod panowanie Niemców".

W tym uzasadnieniu znaleźć można wszystko, prócz dowodów korzyści jakie osiągnęłaby Rosja z przejścia Królestwa pod panowanie niemieckie; znaleźć można i fałszywe przesłanki, i dużo złośliwości, i to, co Niemcy nazywają *Schadenfreude*...

Ale w jaki sposób, słowianin p. Witmer cieszyć się może z możliwości oddania słowian-Polaków na pastwę „systematycznego ujarzmiania słowiańszczyzny przez kulturę niemiecką i giermanizm"?!

Z polityki zagranicznej.

Detronizacja sułtana oraz wstąpienie na tron jego brata Reszada Effendi jako Mahometa V zostało już obwieszczone ludności Konstantynopola hukiem 101 wystrzałów armatnich, a przez abasadorów państw zagranicznych europejskim rządom. Ludność turecka przyjęła tę wiadomość entuzjastycznie, niewiadomo z jakim uczuciem przyjmą ją europejskie rządy.

Nowy sułtan został wśród szeregu owacji wprowadzony uroczyście do gmachu parlamentu w Stambule. Będzie to pierwszy istotnie konstytucyjny monarcha Turcji, zawdzięczający swe wstąpienie na tron ruchowi konstytucyjnemu i obejmujący władzę na podstawie zaprzysiężonej konstytucji. Istotną władzę wykonawczą dzierży dotąd w ręku Szewket-Pasza — nazwany przez prasę francuską Cromwellem Turcji, najwyższą zaś władzą jest obecnie zgromadzenie narodowe, które orzekło detronizację Abdul Hamida na zasadzie stwierdzonej dokumentami zdrady stanu. Armja domaga się stracenia byłego sułtana. Czy nowy rząd młodoturecki posunie się do tej ostateczności, o tym zadecyduje jak zawsze — racja stanu. Z jednej strony obawa, czy w razie pozostawienia sułtana przy życiu reakcja znowu nie zechce głowy podnosić, a podniecając fanatyzm religijny nie zdoła tu i owdzie pobudzić tłumów do ruchawki mającej na celu oswobodzenie Kalifa — mogłaby skłaniać do radykalnego a zarazem odstraszającego środka stwierdzającego jawnie, że w Turcji nikt nie jest ponad prawem. Z drugiej jednak — konieczność liczenia się z mocarstwami zagranicznymi, zachowania z nimi dobrych stosunków a uniknięcia ich interwencji w momencie tak ważnego a niebezpiecznego wewnętrznego przełomu — uczyni ostateczną decyzję zależną od stanowiska, jakie te mocarstwa zająć zechcą. Powaga nowego rządu niewątpliwie w znacznej mierze zależeć będzie od tego, czy uda mu się poskromić ruchy kontrrewolucyjne w Azji Mniejszej, położyć koniec rzeziom i zapewnić bezpieczeństwo chrześcijanom i cudzoziemcom. Akcja zbrojna przeprowadzona w Konstantynopolu dotychczas dała chlubne świadectwo zarówno sprężystości jak i karności młodotureckiej armji.

Majątek Abdul Hamida został już skonfiskowany na rzecz skarbu—on sam został przewieziony do Salonik. Jak pełnym ohydy było panowanie tego władcy, tak marnym był jego upadek. Do ostatniej chwili targował się ze swym narodem o cenę własnego tronu, ofiarując najprzód 10, potym aż 50 miljonów funtów, aby go tylko pozostawiono na stanowisku, jak się okazuje wysoce lukratywnym. W zbiedzonym, zrujnowanym, przez urzędników wysysanym a przez cudzoziemców eksploatowanym kraju, pozbawionym środków na żołd dla żołnierzy, znalazł pieniądze na przekupywanie ich skłaniając do mordu i zdrady. Tegoż samego środka przekupstwa chwytał się w obronie swej władzy i swego tronu. Solidaryzowanie się z takim monarchą byłoby właściwie kompromitujące dla każdego szanującego się europejskiego rządu i jest rzeczą wątpliwą, czy nawet jego „najlepszy przyjaciel" na niemieckim tronie zechce w tej brudnej sprawie ręce maczać. W każdym razie najbliższa przyszłość przyniesie zapewne dużo ciekawych wypadków.

Mocarstwa trójprzymierza uznały zgodnie niezawisłość Bulgarji, która niezmiernie zręcznie wyzyskując położenie z tegorocznego zamętu na widowni europejskiej, wyciągnęła czysty zysk, bez kosztów, a właściwie i bez ryzyka.

Wojska rosyjskie wkroczyły już do Persji. Wobec tej nowej niebezpiecznej interwencji, szach, który daremnie próbował oszukać ambasadorów zagranicznych obiecując 6 dniowe zawieszenie broni, znowu cofać się zaczyna. Już wraz z ministrami opracował nowy projekt konstytucji, już go nawet podpisał i ruch wojska w kierunku Tebrysu powstrzymał. Jak będzie wyglądała ta nowa na kolanie spisana konstytucja, czy wejdzie w życie, czy zadowolni naród i rozbroi rewolucjonistów, przesądzać trudno. Będzie to zapewne połowiczny wytwór wahania i strachu oraz źle maskowanych i ledwie hamowanych zachcianek absolutyzmu. W każdym razie Persja, będąca w położeniu bardzo analogicznym do Turcji, ma zapewne jeszcze przed sobą dłuższą ewolucję, choć poza sobą dłuższy okres wewnętrznych zapasów.

Otrzymujemy następującą odezwę opatrzoną 120 podpisami przyrodników polskich ze wszystkich dzielnic kraju oraz z zagranicy:

Od długich lat profesor August Witkowski służy Nauce i społeczeństwu swemu. Służy im wiernie, jako profesor Szkoły Jagiellońskiej, ucząc pokolenia uczni, prowadząc ich wytrwale ku pojmowaniu Natury, ku poszanowaniu Nauki. Służy im, jako kierownik Zakładu Fizycznego, w którym pierwsze kroki stawiają ci, którzy pragną zrozumieć istotę przyrodniczego badania. Służy im wreszcie jako uczony, jako badacz, jako pisarz polski. Uczony i badacz ofiarował Nauce szereg prac, związanych jedną myślą, idących wspólnie ku jednemu celowi; szereg prac tak ścisłych i zbudowanych tak mocno, że tworzą już dzisiaj trwały pomnik polskiej pracy w Rocznikach nauki, a tak mozolnych i trudnych,

że rzadko kto w Europie odważa się podejmować podobne. Pisarz jasny, prosty, dokładny, wytworny, profesor Witkowski wzbogacił kulturę polską o dzieło pierwszorzędnej wartości, o „Zasady Fizyki".

W roku ubiegłym, 1908, jedno z pomiędzy dążeń profesora Witkowskiego poczęło się iścić. Rozpoczęto w Krakowie roboty około dźwignięcia nowego Gmachu Zakładu Fizycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zbliżył się ku nam cel gorących, wieloletnich zabiegów profesora. Niedaleka jest chwila, gdy w godnych siebie, w godnych Uniwersytetu i Nauki ramach pofesor Witkowski rozpocznie nową epokę pracy i badania.

Koledzy, przyjaciele, starsi lub młodsi współpracownicy, dawniejsi i obecni uczniowie profesora Witkowskiego, a wszyscy bez wyjątku Jego wielbiciele, wszyscy wdzięczni Mu głęboko za wysokość poziomu, moralnego i umysłowego, ku któremu wiódł ich zawsze, postanowili objawić swe przywiązanie, swą cześć dla Jego dzieł i Jego życia.

W dniu, w którym profesor Witkowski wygłosi pierwszy wykład w nowym Gmachu, praguiemy w tym dniu złożyć Mu w ofierze fundusz stypendyjny Jego imienia, przeznaczony dla ucznia Uniwersytetu Jagiellońskiego, poświęcającego się specjalnie studjom w zakresie Nauki Fizyki.

Zwracamy się o pomoc do inteligientnego ogółu polskiego. Zwracamy się do tych, którzy cenią badanie zjawisk w otaczającym nas świecie, którzy rozumieją, jaki przemożny wpływ na kulturę duchową człowieka wywiera poszukiwanie odwiecznej prawdy w Naturze. Zwracamy się do tych, którzy widzą naszą przyszłość w pracy około podstaw naszej kultury. Zwracamy się do uczniów profesora Witkowskiego, do czytelników Jego dzieł, do słuchaczy Jego odczytów; zdają oni sobie sprawę z pewnością z długu wdzięczności, który zaciągnęli względem Niego. Zwracamy się do przyjaciół Uniwersytetu Jagiellońskiego i Młodzieży, zjeżdżającej się ze wszech stron Polski, ażeby uczyć się w Krakowie. Zwracamy się do nich wszystkich z serdeczną prośbą o poparcie naszego przedsięwzięcia.

Uprasza się o przesyłanie składek pod adresem:

Bank hipoteczny w Krakowie.
(Na rachunek bieżący fundacji im. prof. A. Witkowskiego),

i Dom Bankowy H. Wawelberg
Warszawa ul. Kotzebue 6.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia J. Mianowskiego podaje do wiadomości, że z fundacji Stanisława Rotwanda i Hipolita Wawelberga, zatwierdzonej przez władzę rządową, przyznana zostanie w r. 1909 nagroda pieniężna imienia profesora Adolfa Pawińskiego w wysokości rs. 600 za najlepszą z ogłoszonych drukiem w języku polskim w ciągu trzech ostatnio ubiegłych lat t. j. 1906, 1907 i 1908 pracę, odnoszącą się do historji polskiej. Z dzieł równej wartości naukowej pierwszeństwo do nagrody służy dziełu, mającemu za przedmiot opracowanie materjałów zebranych przez prof. Pawińskiego. Stosownie do ustawy kasy i do zastrzeżeń władzy, przyjętych przez ofiarodawców, nagroda ta może być udzielona jedynie poddanemu rosyjskiemu, o ile nie przebywa zagranicą bez pozwolenia rządu, za dzieło przez cenzurę dozwolone, choćby wydane zagranicą. Jakkolwiek komitet zarządzający kasą będzie usiłował zebrać dla oceny kwalifikujące się do nagrody prace wydane w latach wymienionych, dla uniknięcia jednak przeoczeń prosi o składanie prac o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała Nr. 7) lub na ręce jednego z Członków Komitetu.

KRONIKA.

— Redaktor i wydawca tygodnika „Wolne Słowo" wskutek pomieszczenia w ostatnim numerze swego tygodnika utworu p. n. „Ostatnia mohikanka rewolucji", w dniu 24 b. m. został aresztowany. Poczym rozkazano mu wyjechać za granicę.

— Wybór posła z miasta Warszawy w miejsce p. Romana Dmowskiego naznaczono na d. 21 maja Wyboru dokonać mają ci sami pełnomocnicy, którzy uczestniczyli w wyborach poprzednich.

— Wojska młodotureckie po zaciętej walce ze zbuntowanymi reakcjonistami weszły do Konstantynopola; zajęły wszystkie posterunki i pałac Sułtański Ildiz - Kjosk.

— Rusińscy posłowie do austryjackiej Rady Państwa złożyli wniosek nagły o podzielenie ministerjum dla Galicji na 2 sekcje narodowościowe: rusińską i polską.

— Prezydent miasta Warszawy został na własne żądanie (z powodu choroby) uwolniony z zajmowanego stanowiska.

— Senator Garin przystąpił w Moskwie do rewizji intendentury tamtejszej. Rewizja ta ma być dokonaną za okres czasu 15-o letni, szczególniejsza uwaga ma być zwrócona na okres wojny rosyjsko japońskiej.

— W dniu 25 b. m. dokonano odsłonięcia pomnika Gambetty w Nicei, w obecności prezydenta Republiki Fallières'a, prezesa gabinetu Clémenceau i paru innych ministrów.

— Zmarł Stanisław Lesz. nowski, długoletni redaktor „Gazety Warszawskiej", zwiniętej w roku 1906.

OFIARY.

Na kolonje letnie: od pracowników Tow. Nikopol-Marjupolskiego w Sartanie:

L. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 2, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, H. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, Z. de o'Byrn kop. 50, J. Tarkowski rb. 1, A. Misiewski kop. 50, A. Kozikowski rb. 1, Cz. Paderewski kop. 50, L. Mierzyński rb. 1, S. Szczawiński rb. 1, ogółem 48 rb.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Bujno: „Ruskin". Wydanie 2 gie. Księgarnia M. Arcta w Warszawie.
— Zabłocki: „Fircyk". Ks. M. Arcta w Warsz.
— Słowacki: „Książe niezłomny". Ks. M. Arcta.
— Junosza: „Szkice". Ks M. Arcta.
— Wróblewski: „Granice". Ks. M. Arcta.
— Krzemiński: „Komisja edukacyjna". Ks. M. Arcta.
— Łagowski: „Literatura polska część VII". Ks. M. Arcta.
— Antoszka: „Czechy" część II. Ks. M. Arcta.
— Antoszka: „Podręcznik języka czeskiego". Ks. M.Arcta.
— Junosza: „Obrazki". Ks. M. Arcta.
— Junosza: „W powodzi kwiatów". Ks. M. Arcta.
— Junosza: „Oryginał z Piskorzewa". Ks. M. Arcta.
— Libelt: „Pomysły o wychowaniu". Ks. M. Arcta.
— Libelt: „O odwadze cywilnej". Ks. M. Arcta.
— Lange: „Literatura powszechna" cz. III. Ks. M. Arcta.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

Jaśniach. Jakkolwiek do połowy lipca mamy odcinek zajęty, jeśli Sz. Panu nie zależy na pośpiechu, prosimy o przysłanie rękopisów. Naturalnie dopiero po ich odczytaniu można zadecydować, czy drukowane będą.

Czytelniczce. Adres Antoniego Szecha, ul. Wspólna 34—5.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ZYCIE SPOŁECZNE: Martwa idea, przez m. — Przypuszczalny rozwój stosunków społeczno-politycznych w Rosji w najbliższej przyszłości, przez Ludwika Kulczyckiego. — Historja mści się, przez P. Zubowicza. — Medjolański renesans w filantropji, przez Władysława Kobylińskiego. — Z dna nędzy, przez Stefanję Sempołowską. (Dok.)—BADANIA NAUKOWE: Lyell, przez Z. Weyberga. — Henryk Apolinary Konn: „Prawa wyjątkowe", przez Józefa Lange. — LITERATURA I SZTUKA: Wystawa malarska trzech kobiet, przez Wincentego Trojanowskiego. — Wincenty Lutosławski: „Religja w życiu narodowym", przez W. — Jan Bełcikowski: Papieże a kwestja polska w XIX wieku, przez W. — Marja Dunin Sulgustowska: Slöjd, przez ew. — Z PRASY: Z prasy rosyjskiej. — Z polityki zagranicznej. — Kronika. — Ofiary. — Książki nadesłane do Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.